TYGODNIK KOBIETY



Nr. 1.
27 października
1935 r.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

CENA
50 GR.





opis na str. 13.



2.

Sukni
Wizytow



3.



TYGODNIK KOBIETY

Redaktorka naczelna: WANDA DOBRZAŃSKA. Wydawca: JANINA KULIGOWSKA.
REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Okólnik Nr. 11-a, tel. 666-35. KONTO P.K.O. 13.191.
Naczelna redaktorka przyjmuje we wtorki i czwartki od 11-ej do 13-ej. Sekretarjat redakcji czynny codziennie od 11-ej do 14-ej.

Rok I Nr. 1. 27 października 1935 r.

Tym, które potrzebują rady pomocy i oparcia, które tęsknią samotne lub opuszczone i tym, którym los zgotował pełnię szczęścia.
Radosnym i smutnym.
Zaszytym w głuszy wiejskiej i żyjącym pulsującem tętnem miasta.
Cichym kobietom domowego ogniska i tym które żyją na błyskotliwej arenie świata.
Szarym pracowniczkom dnia codziennego i kobietom czynu.
Wszystkim, które myślą i czują oddajemy Tygodnik Kobiety.

Poza szybami oświetlonej drukarni wre gorączkowa praca.

Maszyna wyrzuca mokre od farby arkusze. Piętrzą się stosy gotowej już okładki.

Ostatni rzut oka na pokryte drukiem szpalty — krótki redaktorski rachunek sumienia. O świcie będzie już poza nami gorączkowy trud nocnych godzin — pierwszy numer pisma pójdzie w świat.

Rzuci się w oczy nieznana dotąd okładka. Ruchliwy sprzedawca pism zagrodzi drogę na ulicach miasta. Na dalekiej prowincji czyjeś ręce sięgną po nowe pismo rozłożone w kioskach Ruchu.

Czy będą jednak wśród ciekawych tacy, którzy wczują się w jego cel, w jego duszę, w jego pulsujące żywą krwią serce?

Przyjdzie i to. Przyjdzie zczasem, kiedy z poza ciekawych ilustracyj; przykuwającej uwagę powieści; udatnej noweli, barwnego feljetonu; z poza specjalnych działów; „modnego" referatu; robót ręcznych; przepisów kulinarnych; drobnych praktycznych rad; z każdej szpalty zadrukowanego papieru zacznie przemawiać do Czytelniczek głos znajomy i bliski, gromadzona mozolnie, przez długie lata, wiedza, „iskry boże" talentów i serca, co przyszły dzielić się zbieranem na szlakach życia zrozumieniem jego istotnej treści.

Pismo kobiet!

Będą je układały w roczniki ich ręce. W chwili wahania, zwątpienia, czy nudy sięgną do przerzucanych już dawniej stron.

To co milczało w godzinie smutku — przemówi, gdy powróci radość życia.

To, co im było zbędne w chwilach szczęścia — odezwie się do nich głosem pocieszenia.

Jeżeli zatamuje ich lot jakieś wenętrzne wahanie, jeżeli życie ułoży się w znak zapytania — znajdą na stronach swojego pisma odpowiedź i ostoję.

Walczące o prawo bytu, zbliżą się do legjonu tych, co jak one, zmagają się z życiem. Zwyciężające dorzucą swój laur do wspólnego wieńca chwały.

Te, co spojrzą głębiej, co czytać będą nietylko oczami, ale pełnem prawd ukrytych odczuciem, zrozumieją wszystko, co przewija się przez szpalty ich pisma — toruje nowe szlaki, dokumentuje to, czego już dokonały, wzywa do dalszej wytrwałej pracy, nie pozwala zatrzymać się wpół drogi — usłyszą głos, którym przemawia do nich życie.

Bo życie kobiety, to nie epokowe momenty psychologiczne, zrodzone pod znakiem przemijającego szczęścia czy cierpienia. To codzienny, mozolny trud. Nie rzemiosło, a sztuka życia!

W tej właśnie „sztuce życia" chcemy być Waszemi przewodniczkami, my zgrupowane dokoła Tygodnika Kobiety.

Żadna z nas nie posiada jej wpełni. Żadna z nas nie jest doskonała.

Ale każda nosi w sobie chociażby jedno maleńkie ziarno: prawdy, piękna, doświadczenia, wiedzy, czy talentu.

Z tych ziarn, rzuconych na glebę naszego pisma, chcemy razem z Wami zbierać plon.

Są pomiędzy nami płomienne zapałem. Mądre doświadczeniem i rozwagą.

Te, które zrozumiały siłę życiowych nakazów, znikomość buntu, słodycz miłości i przebaczenia.

Są takie, które znają obowiązek wytrwania, cenę wierności, radość zwycięstwa i szlachetną, mądrą dumę wyrzeczenia.

Nie idziemy do Was z programem — najmądrzej budowane programy koryguje życie!

Ale chcemy: smutne — nauczyć uśmiechu. Radosnym opowiedzieć o łzach, które czekają pocieszenia. Zwyciężone natchnąć nową siłą, — tym, które zwyciężyły, przekazać obowiązek opieki nad pokonanemi.

Zamkniętym w czterech ścianach cichego domu, otworzyć okno na świat. Osłonić zagrożone w swoich prawach.

Nasze hasło — to lepsze jutro, nad którem chcemy pracować umysłem i sercem, pod którego sztandarem idziemy walczyć dla Was o trwałe prawo uśmiechu.

Wanda Dobrzańska.



Okno na świat

Pomimo małego naogół zainteresowania kobiet sprawami publicznemi, nie sądzę, aby było rzeczą słuszną przejść do porządku dziennego np. nad brakiem przedstawicielstwa kobiecego w Sejmie i Senacie. Ten niecały procent mandatów, jaki uzyskałyśmy w Sejmie i około 5% w Senacie jest przecież tylko kroplą w morzu naszych słusznych praw do stanowienia o losach kraju. Tembardziej, że prawa te bezapelacyjnie i bez zastrzeżeń przyznała nam konstytucja kwietniowa.

Jednakże, choć Konstytucja potraktowała kobiety jak matka, Ordynacja Wyborcza obeszła się z nami wręcz po macoszemu, nie odbierając nam teoretycznie nabytych praw, ba! nawet ich nie kwestjonując, poprostu zamknęła nam drzwi Sejmu i Senatu.

Tak postępuje rasowa macocha. Nie jakaś tam okrutnica „czarny charakter" z bajki, ale taka, co to wchodząc do rodziny, spokojnie i systematycznie nikogo nie krzywdząc, nie dając pasierbom powodu do skarg, protestów, stwarza uprzywilejowanych i upośledzonych.

I tak właśnie „nie krzywdząc" — skrzywdziła nas Ordynacja Wyborcza.

Dlaczego poruszam tę przebrzmiałą dla jednych, mało interesującą dla innych sprawę?

Niech się martwią tem feministki! Nas, przeciętne kobiety, naprawdę bardzo mało obchodzi, czy kobiety weszły, czy nie weszły do Sejmu i Senatu! dość mamy trosk i radości codziennego dnia, żebyśmy się jeszcze miały martwić składem Izb Ustawodawczych! Prawdę mówiąc niebardzo zdajemy sobie sprawę, jakie kompetencje Izby te posiadają i poco wogóle zbierają się w gmachu przy ulicy Wiejskiej?

Stanowisko dobre, jak każde inne. Nie powiem, żebym je podzielała, ale mogłabym je ostatecznie uznać, gdyby nie to, że wiele z tych obojętnych na sprawy publiczne kobiet buntuje się, i to całkiem szczerze, przeciwko miłym sercu męskiemu „trzech K" Hitlera *). Krótko mówiąc, z zarzucanym nam, (jakże słusznie, niestety!) — brakiem logiki, nie chcemy ograniczyć swego życia do czterech ścian domu i nie potrafimy rozszerzyć naszych zainteresowań poza jego ściany.

Stanowisko takie, zawsze trudne do zachowania, w obecnych czasach, czasach wielkich przemian ustrojowych, tembardziej nie da się utrzymać.

Musimy się zdecydować, jaką rolę odegrać chcemy w życiu rodzinnem, politycznem i gospodarczem kraju?

Czy chcemy być tylko „strażniczkami domowego ogniska", czy temi, które je zapalają i rozniecają? Czy chcemy być biernymi świadkami życia, czy też czynnym jego elementem? Czy chcemy żyć i pracować w warunkach stwarzanych przez innych, czy też same brać w pracy tej twórczy udział?

*) Kirche, Kinder, Küche — kościół, dzieci, kuchnia.

Powiedział ktoś, że wykształcenie dziewcząt jest podstawą kultury narodu. Bo przecież nikt inny tylko właśnie kobieta, matka, wychowawczyni i pierwsza nauczycielka zarówno dziewcząt, jak chłopców, ma decydujący wpływ na kształtowanie się duszy dziecka.

Tę prostą prawdę uznano dopiero niedawno.

Trzeba było wielu pokoleń, wielu wysiłków i ofiar ze strony kobiet, żeby wreszcie zrozumiano, że dopuszczając do skarbnicy wiedzy i kultury kobiety, świat nietylko nie zubożeje, ale przeciwnie, jeszcze się wzbogaci, choćby przez to, że zyska w kobietach najcenniejszy, bo najbardziej bezpośredni łącznik między zdobytemi wartościami kulturalnemi, a nowem pokoleniem.

Ale... kto stoi w miejscu, ten się cofa! I nic nie pomoże nam wykształcenie średnie, czy nawet wyższe, jeśli na niem tylko poprzestaniemy i nie potrafimy wzbudzić w sobie żywego zainteresowania współczesnością we wszystkich jej przejawach, od obyczajów począwszy, a kończąc na zagadnieniach gospodarczych, które tak chętnie określamy mianem nudnych, trudnych czy zbyt specjalnych.

A przecież właśnie te zagadnienia gospodarcze mają dla nas kobiet, pierwszorzędne znaczenie, bo od nas zależą ustalenie i wykonanie budżetów domowych.

Niestety, większość z nas nie chce widzieć owego ścisłego związku, jaki zachodzi między „moim budżetem domowym" i czynnym czy biernym bilansem kraju. Interesuje nas cena mąki, ale nie giełda zbożowa. Zmniejszenie poborów budzi zrozumiały niepokój, ale zagadnienie takiego czy innego podziału dochodu narodowego pozostawia nas niepojęcie obojętnemi. Stan dróg w naszej okolicy jest bolączką, ale wielki plan robót publicznych — pustym dźwiękiem. Oddłużenie rolnictwa, z którem łączy się ściśle ożywienie przemysłu (rolnik jest wciąż jeszcze najpoważniejszym liczebnie odbiorcą w Polsce), nie budzi w nas większego zainteresowania, a zwalczanie bezrobocia przez Fundusz Pracy — tylko to zastrzeżenie, że obarczono nas nowemi zastrzeżeniami...

A tymczasem — i ceny zboża, i roboty publiczne i oddłużenie rolnictwa i Fundusz Pracy i nowa reforma szkolna, idąca po linji rozszerzenia i pogłębienia szkolnictwa, a więc i przygotowania zawodowego i hasło zwalczania bezrobocia przez roboty publiczne i ograniczenie pracy kobiet (owe masowe redukcje nietylko żon, ale i „córek" i nawet „sióstr" zarobkujących mężczyzn), to wszystko, obok form obyczajowych, wynalazków, mody, — to współczesność.

Ta współczesność, której poznawanie jest i pozostanie najskuteczniejszą obroną teoretycznie zdobytego równouprawnienia, którego przecież nie chcemy utracić.

Ani te z nas, które pragnęłyby widzieć kobiety na szerszej arenie działalności publicznej, ani te, które zadanie żony i matki obowiązuje ponad wszystkie inne.

Na każdym odcinku życia, w roli gospodyni domu, biuralistki, nauczycielki, działaczki społecznej — nie można wiedzieć za dużo i nie wolno żyć za ciasno.

Dom, który nie ma okna na świat, który żyje w cieniu tylko własnych interesów, za bezpiecznym murem osobistych trosk i radości, zczasem staje się więzieniem dla swoich mieszkańców.

Okno na świat — to tajemnica szczęścia rodzinnego i wpływu na swoich najbliższych.

Okno, przez które objąć można szerokie horyzonty współczesności i dojrzeć to, co się dokoła nas dzieje.

Zagadnienia etyczne, społeczne i gospodarcze — zdobycze myśli i ducha ludzkiego.

To wszystko, co tysiąckrotnie wzbogacić może życie i pozwoli nam w czterech ścianach pokoju prowincjonalnej mieściny, czy zapadłej wsi wyczuć prawdziwe tętno życia.

Zofja Popławska.

Co się dzieje na szerokim świecie

Nawet wówczas gdy adherentki Gromiwoi próbowały zapobiec wojnom w sposób bardzo swoisty, nie odnosiło to trwałych skutków. Od początku świata nie było ani jednej epoki, nawet tak krótkiej, jak jedno pokolenie — bez wojny.

Miałyżby więc wojny być zjawiskiem naturalnem i miałażby nigdy ta zmora nie opuścić naszej Ziemi!

Nie można się poddać takiemu pesymizmowi.

Gdy poddamy analizie przyczyny wojen, okaże się, że jest jedna tylko przyczyna: — oto dwie strony nie mogły się zgodzić na jedno, więc uciekły się do argumentu siły.

Ale jeżeli chodzi o cele wojny, to również cel jest zawsze jeden — rozszerzenie swego posiadania.

Fakt biologiczny.

Wojna abisyńsko - włoska wygląda tak samo jak inne: Italja, przeludniona, pozbawiona od przyrody bogactw mineralnych — nafty, rud, złota, w ciężkich warunkach finansowych i gospodarczych — szuka tego właśnie czego jej potrzeba. W Abisynji znalazłaby to. Próbowała już raz, przed czterdziestu laty. Dostała fatalnie w skórę. Wytworzył się w Italji długotrwały stan emocjonalny ujemny: — uczucie zemsty i odwetu.

Traktat Wersalski skrzywdził Italję, bo wszystkie wielkie mocarstwa aljanckie otrzymały po Niemcach mandaty kolonjalne — oprócz Italji. I znów w tym kraju nagromadziły się emocje — poczucie krzywdy.

Szalony rozmach odrodzenia Italji przez faszyzm napełnił duszę narodu włoskiego uczuciem dumy. Przy wielkiej uczuciowości Włochów wogóle i ich temperamencie, na skutek pobudliwej propagandy wewnętrznej uprawianej przez Mussoliniego, duma, słuszna może, przerodziła się w uczucie pychy. Element najwybitniej destrukcyjny.

I oto mamy podłoże wojny: fakt konieczności rozwojowych oraz fakt nagromadzenia emocyj ujemnych, których możnaby uniknąć.

Fakt pierwszy może doprowadzić zawsze do wojny, ale nie musi. Od tego są pokojowe układy dyplomatyczne. Ale nagromadzenie uczuciowości destrukcyjnych wojnę wywołać musiały.

Kobieta italska źle wychowała swoich synów.

Teraz będzie wylewała gorzkie łzy. Może po tej wojnie zrozumie, że należy w dzieciach wyrabiać panowanie nad uczuciami zemsty, odwetu, a nadewszystko — pychy.

Italję uśmierzać będzie Wielka Brytanja.

Od 400 lat Anglja uśmierzała stopniowo Holandję, Hiszpanję, Francję, za naszych czasów Niemcy — bezpośrednio, Rosję pośrednio przez Japonję, w tych zawsze momentach, gdy te państwa kolejno wysuwały się na pierwsze miejsce potęgą materjalną.

Dziś tembardziej Anglja uśmierzy Italję, która próbuje wysunąć się na czoło państw europejskich, Mussolini bowiem wielokrotnie zaznaczał, że nie boi się nikogo i że nie zawaha się rzucić rękawicę nawet całej Europie, złączonej w Lidze Narodów.

A trzeba pamiętać, że w Lidze Narodów istnieje Liga Brytyjska złożona z następujących 7 państw samodzielnie do Ligi Genewskiej należących: Anglji ze Szkocją, Irlandji, Kanady, Newfoundlandu, Australji, Nowej Zelandji i Południowej Afryki.

Solidarność rasy anglosaskiej liczy jeszcze zawsze na zaplecze — Stany Zjednoczone Północnej Ameryki, które uratowały podczas Wielkiej Wojny Anglję od porażki i zawsze w takiej ewentualności wyratują.

Prymat anglosaski opiera się na sile materjalnej.

Kobieta anglosaska — pod tym względem — źle wychowuje swoje dzieci. Bo powinna w nie wpoić przekonanie, że prawo do prymatu w hierarchji ludów zyskuje się walorami moralnemi, nie materjalnemi.

Taką naukę powinna wyciągnąć kobieta polska z wojny włosko-abisyńskiej.

Dr. Gustaw Olechowski.

Wczoraj, dziś, jutro

Trudno nie zacząć od Abisynji, skoro ma to być feljeton aktualny! Abisynja jest przecież na ustach wszystkich — nietylko polityków, tych prawdziwych i tych domorosłych, nietylko sztubaków, którzy „wyrwani" z Abisynji, jak jeden mąż, odpowiedzieliby na piątkę, — ale nawet „panienek" po biurach, tych najtrudniejszych do poruszenia, najodporniejszych do zainteresowania czemkolwiek istot.



Abisynja — ewakuacja



Skaut abisyński.



Tak się dowozi wodę abisyńskim żołnierzom.

Addis Abeba, Aksena, historyczna już dziś Adua (pamiętna klęską Włochów w r. 1896, a obecnie ich pierwszem zwycięstwem), nawet rzeka Mareb, góra Mussa i całe mnóstwo innych nazw, przestały być egzotycznemi. Wiemy, że „ras" znaczy wielkorządca i że Abisynja, chociaż panuje nad nią cesarz, noszący dziwny tytuł „króla królów", podzielona jest na prowincje przez tych rasów rządzone. Że obecny cesarz zeuropeizował (o ile to było możliwe) kraj, że obiecał w ciągu dwudziestu lat znieść niewolnictwo, które kwitnie w tem najstarszem chrześcijańskiem państwie, że założył szereg szkół, wprowadził nawet harcerstwo, że armja jego ćwiczona jest przez oficerów europejskich, że nabój karabinowy jest środkiem płatniczym narówni z monetami, że legendarna królowa Saba panowała w Abisynji i Lidh Jessu, zdetronizowany przez obecnego „Króla królów" cesarz Abisynji, jest potomkiem w prostej linji jej i króla Salomona.

Dalej: jest to kraj pustynny i górzysty, o iście „abisyńskim" klimacie, to znaczy takim, do którego ludziom białym trudno się przyzwyczaić. I że 51 państw z pięćdziesięciu czterech wchodzących do Ligi Narodów, uchwaliło sankcje gospodarcze i finansowe przeciwko Włochom.

Oto wczoraj i dziś Abisynji. Jutro tego państwa jest niepewne i mgliste. To „jutro" jak czarna chmura, zawisło nad całym światem, grożąc mu powikłaniami. Z jakiegokolwiek bowiem punktu spojrzymy na zatarg włosko-abisyński, nie jest on obojętny dla rasy białej, a my, kobiety, które z natury swej jesteśmy pacyfistkami, ze strachem myślimy o tem, że zarzewie wojny, rzucone przez Włochów, pożarem objąć może cały świat.

Wobec zainteresowania Abisynją, prawie niepostrzeżenie przeszedł zamach stanu w Grecji. Uznałyśmy, że są to sprawy wewnętrzne tego kraju i przeszłyśmy do porządku dziennego nad przywróceniem monarchji w Grecji. Ba, nawet zmiana rządu w Polsce wydaje się nam bladą wobec łuny pożaru abisyńskiego, a jednak, sądząc z oświadczenia pana premjera Kościałkowskiego, wchodzimy w nowy okres życia naszego: „pracy nad rozwojem sił ekonomicznych społeczeństwa i państwa", to znaczy prze — i rozbudowy gospodarczej Polski.

Bliższe plany tej rozbudowy nie są jeszcze znane, hasło zostało jednak rzucone i po tej linji pójdą prace nowego rządu. Jak zapewnia prasa, jednym z punktów nowego programu jest obrona złotego. Do sprawy tej jeszcze powrócę. Obawiam się bowiem, że nasza nieświadomość i obojętność względem spraw państwowych zacznie być w końcu... nudną.

Tymczasem — dla innych. Tak przynajmniej twierdzi znakomity pisarz angielski Wells. W dowcipny i złośliwy sposób wyśmiewa on kobiety, które kobiecości swojej bronią — zajęciami i zainteresowaniami czysto domowemi, kiedy „miejsce kobiety jest to, które zajmie".

Nic słuszniejszego. Marja Curie Skłodowska, Amelja Earhadt, Helena Willis (umyślnie biorę tak szeroką skalę uzdolnień), najlepiej tego dowiodły!

Taka Juliette Adam, np. zaczyna setny rok życia, a zachowała jeszcze jasność umysłu i bystrość sądu, którego niejedna z nas mogłaby jej pozazdrościć. Niestrudzona feministka, entuzjastyczna wielbicielka literatury i sztuki, mogłaby niejednej z młodszych dodać ochoty do życia.

Z przyjemnością, jako pismo kobiece, notujemy wybór pani Wallace Duns na burmistrzynię miasta Calera w Chili. Auckland (Nowa Zelandja) ma coprawda burmistrza, ale zato więcej niż połowę radnych — kobiet. I podobno jest wzorowo gospodarowana.

O Lidze Narodów i Opiece nad młodzieżą wygłosiła w Warszawie odczyt p. Emilja Gourd, redaktorka pisma „Mouvement féministe".

E. Hauswith wydała bardzo interesującą książkę o kobietach indyjskich. Widzimy z niej, że Hinduski jeszcze przed pół wiekiem zamknięte w „Zenana", szybko zdobywają prawa obywatelskie. Trzeba przyznać, że emancypacyjny ruch kobiecy w Indjach zapoczątkowali mężczyźni. I nasze nieudolne siostry, w walce o równouprawnienie, walczyły już tylko z bezwładem kobiet, nie zaś jak my, — również i z niechęcią mężczyzn.

Chociaż, kto wie, czy to pierwsze nie jest groźniejsze dla każdego „jutra"...

Zet.

Ludwika Nitschowa — twórczyni pomnika Marji Curie-Skłodowskiej

„Wysiłek — to nietylko wszystko czego od nas biednych ludzi żądać można, ale także jedyna rzecz, która może nam przynieść trochę zadowolenia" — oto są słowa Marji Curie.

Pomnik naszej wielkiej rodaczki, odsłonięty przed kilkoma tygodniami w Warszawie, wyobrażający jej poważną i pełną zadumy postać — to rezultat rzetelnego wysiłku Ludwiki Nitschowej. Nie jest to pierwsze dzieło artystki, która od szeregu już lat pracuje na polu sztuki plastycznej. Początkowe zainteresowania pani Nitschowej szły w kierunku malarskim, — temu to działowi sztuki poświęcała ona pierwsze lata swych studjów odbyte w Krakowie. Szkoła Sztuk pięknych w stolicy, zetknięcie z profesorem Breyerem, wytrawnym pedagogiem i entuzjastą rzeźby, stały się przyczyną, że następnie upodobania jej zamknęły się w tym obrębie.

Wkrótce potem zaczęły się pojawiać na wystawach rzeźby Nitschowej: portrety i kompozycje portretowe, zwracające uwagę spokojem pełnej umiaru formy.

Nie szukając rozgłosu, wystawiają dość niechętnie, pracując w zaciszu domowem — jest obecnie pani Nitschowa radośnie zaskoczona rozgłosem, który powstaje dokoła jej osoby i nazwiska.

Zastrzega się, że nie umie mówić o swej sztuce, że jest zamknięta w sobie i nieśmiała. Uznanie, z jakiem spotkał się projekt pomnika wzmogło ogromnie jej wiarę we własne siły. Ileż to bowiem dawniej nasuwało się filozoficznych wątpliwości i pytań, czy warto pracować tylko dla siebie, gdy nie wiadomo, czy się jest komuś naprawdę potrzebnym.

Dzieła wykonane, ukończone, które nie idą między ludzi, dławią, duszą i męczą. Sztuka jest sprawą wielkiej społecznej wagi i artysta musi odczuwać związek swój z odbiorcami. Gdy go braknie, nadchodzi często załamanie.

— Jakie motywy skłoniły panią do opracowania pomnika Marji Curie, czy był nim impuls zewnętrzny, — zamówienie? zapytuję.

— Postać ta pociągała mnie oddawna, jak wszystko, co jest wielkie, a ma z życiem bezpośredni związek. Podniecał również dawniej mą wyobraźnię twórczą bohaterski czyn Amudsena, którego popiersie, wyrzeźbiłam. Pierwsza próba odtworzenia wizerunku tej genialnej kobiety nie zadowolniła mnie, mówi artystka, zaczęłam więc rzeźbić poraz drugi jej skromną postać. Miałam sposobność kilkakrotnie widzieć panią Curie. Zresztą posługiwałam się fotografjami, starając się jednak odnaleźć formę syntetyczną tej postaci, gdyż portret realistyczny jest dla mnie odrażający, odtwarza tylko ciało, zapominając, że odbić powinien i duszę człowieka.

— Śmierć uczonej, wtajemnicza mnie szczerze artystka w swe przeżycia, tak mną wstrząsnęła, że musiałam przerwać robotę. Przed oczami miałam ciągle twarz umarłą, nie mogłam nadać rzeźbie właściwego wyrazu.

— Zresztą, przerwy nawet długie, nie wpływają źle na rezultat pracy, dodaje artystka, dojrzewa się wówczas.

Artysta jest tak bardzo wrażliwy na podniety, które niesie ze sobą życie, tyle rzeczy pociąga i interesuje. Kontakt z życiem jest konieczny, on to utrzymuje żywość i świeżość w sztuce.

Gdy nie mogę rzeźbić — wtedy gram. Kiedyś nawet próbowałam komponować. Dziś rozkoszuję się przedewszystkiem Chopin'em. Muzyka daje mi poczucie harmonji, stanowiącej także podstawę formy plastycznej. Po wypoczynku oddaję się pracy z pasją. Rzeźba — to mój żywioł — zapala się artystka, — potrzebne mi jest nawet ściśle fizyczne wyładowanie energji. Rzieźbię impulsywnie, szybko. Niektóre portrety — to rezultat ośmiu zaledwie godzin pozowania modelu, a następnie dopiero długich godzin syntetyzowania wrażeń odebranych.

Wiedząc, że pani Nitschowa, obok sztuki, interesuje się i sprawami społecznemi, będąc wice-przewodniczącą Międzynarodowego Związku Kobiet pracujących zawodowo", pragnę się jeszcze dowiedzieć, co myśli ona o pracy artystycznej kobiet.

— Uważam, że równie dużo jest zdolnych mężczyzn, jak kobiet. Praca ich jest jednak trudniejsza, bo muszą zwalczać zaogniający się antagonizm płci.

Kobiety mają przed sobą wielkie możliwości, trzeba im tylko czasem pomóc, budząc zaufanie do ich wysiłków, dając słowa zachęty do pracy.

W tem wszystkiem, co mówi pani Nitschowa, wiele jest subtelnych wyczuć, serdecznej troski o dobro innych. Rozmowa nasza zrazu powściągliwa, staje się coraz bardziej bezpośrednia; zatrzymuję w pamięci obraz mieszkania pełnego kwiatów i książek, w którem świergocą kanarki, i wrażenie kobiecej łagodności, której talent dyktuje wielkie monumentalnie, a nie drobiazgowo — kobiece formy.



Marja Curie-Skłodowska dłuta Ludwiki Nietschowej



Żegnam panią Nitschową z poczuciem, że życie jej jest piękne i bogate. Choć rzadko dochodzi się do takich rezultatów pracy, jak ona, to jednakże, jakby ku pokrzepieniu ducha, przychodzą mi na myśl słowa Marji Curie: „każdy z nas może mieć życie interesujące i użyteczne, a o to głównie chodzi, aby go nie zmarnować!"

Jadwiga Puciata-Pawłowska.

Dziwożony na Saharze





Jakże trudno pisać o Saharze — w Warszawie. Pod szarobłękitnem, chłodnem niebem, w mgliste październikowe ranki, czy w szarudze jesiennej, wsponinienie bezkresnych stepów saharyjskich, fjoletowych gór Muydiru, czarnych wąwozów Hoggaru wydaje się czemś nierealnem, jak marzenie zrodzone w głowie dziecka, które przeczytało niesamowitą bajkę.

Czasami, zgoła niespodziewanie, naprzykład na przystanku autobusów na Brackiej, lub w najruchliwszym punkcie Marszałkowskiej, uderza we mnie przelotna myśl, że przecież tam za morzem jest dziwny, znajomy kraj, gdzie można godzinami błądzić piaszczystym stepem do nieokreślonego celu, majaczącego w drgającej, roziskrzonej dali. Przypomina mi się czarny jak pogrzelisko płaskowyż Tadmaitu i szeroki trakt wiodący do rajskiej oazy El Golea...

W takich razach zdaje mi się, że mała wysepka przystanku za chwilę ruszy z miejsca, zawiruje, poderwie się i uciekinie razem zemną z labiryntu kamiennych domów, na pustynię. Zawsze wtedy budzi się we mnie wspomnienie trzech kobiet, z których jedna spoczywa w płytkiej mogile w cieniu palm 'Ain Sefra, a dwie inne związane z tamtą, tajemną nicią duchowego pokrewieństwa, po dziś dzień wiodą na Saharze egzystencję trampów.

— Czy ty jesteś panna Wagner? — zapytała mnie napół ślepa Aisza, żebraczka celebrująca dolce far niente, na rynku w In Salah. — Suchemi, pomarszczonemi palcami szarpała mój burnus arabski i fałdzisty saruel. — Tamta także sama podróżuje i nosi burnus...

— Popatrz, popatrz — rigarde madame — to jest dom mademoiselle Wagner — wyjaśniał mi zabawną murzyńską francuszczyzną, mały urwis z El Golea. — Ona tutaj czasami mieszka, gdy wraca z Tamanrasset. Jadłem u niej „meszui", podczas wielkiej „diffy". (Diffa — to uczta, a meszui — pieczony na rożnie baran, którego rozrywa się palcami).

Gdy mi wreszcie, na szlaku wiodącym wgłąb Hoggaru pewien meharysta, ongiś zbójnik korsykański, włóczykij i nicpoń, z entuzjazmem jął opowiadać o pannie Wagner, co jeździ na wyścigowym wielbłądzie, jak stary meharysta, zapomniałam na chwilę o bożym świecie, zatęskniłam do tajemniczej panny Wagner i zamiast zbierać „źródłowe dane" o obyczajach arabek, mozabitek i tuareżek, zaczęłam przepytywać ludzi o białą damę, straszącą na pustyni.

Na Saharze plotki kursują z taką samą szybkością, jak w Warszawie, czy w Pinczowie i tak samo mają niewiele podobieństwa z rzeczywistością rzeczywistą, jest w nich jednak ziarnko prawdy. Zresztą sprawdziłam, że plotki rozsyłane po oazach, za pośrednictwem tak zwanego „li tiliphone arabe", to znaczy z ust do ust saharyjskich łazików i karawaniarzy (w tym wypadku mam na myśli przewodników karawan) są bliższe prawdy, aniżeli u nas.

Oczywiście nie obeszło się bez tak naiwnych informacyj, jak ta, której mi udzielił stary poczmistrz, pustelnik uwięziony w robinsonowskiej lepiance urzędu.

— To jest podobno córka jakiegoś muzyka Wagnera. Bardzo, bardzo sławnego.

Trudno się dziwić staruszkowi. Na Saharę wieści z Europy docierają z z pewnem spóźnieniem.

Gdy obejrzałam w El Golea, In Salah, w Timmi i w Tamanraset białe i różowe domki lepione z „tubu", zamknięte na trzy spusty, a należące do panny Wagner, zapytałam się gdzie się znajduje ich właścicielka. Okazało się, że ją przed tygodniem gwałtem odesłano do Wiednia, na kurację, gdyż uległa silnemu porażeniu słonecznemu i nerwowemu wstrząsowi. To się w tamtejszym narzeczu nazywa „zachorować na saharite", albo „dostać bambusem po łbie".

— Ale ona wróci, wróci spewnością— zapewniał mnie kupiec Egipcjanin, handlujący konserwami i perkalikami, w In Halah. Nasza mademoiselle tak się zakochała w „la Sahira", że już od od dziesięciu lat tutaj siedzi. Gdy przyjechała, była zupełnie „pitite" — powiada. (Nawiasem mówiąc każdy tubylec ma pasję przekręcania litery „e" na „i", wychodzą stąd zabawne dziwolągi). Miała może osiemnaście lat. U was to znaczy „pitite", dodaje — bo u nas to już prawie stara panna. Pana ją puścił samą. Tse, tse — niedobrze iest gdy kobieta sama lata po świecie. Pomieszkała w hotelu, a potem kupiła sobie domek i wielbłąda. Tak się zaczęło. Od rana na wielbłądzie, ubrana po naszemu, w burnus i szesz. Spoczątku wraca od czasu do czasu, do swego kraju, gdy zabrakło pieniędzy. A potem jak papa dał — znowu do nas wracała. Powiada, że dusi się w mieście, że z tamtejszymi ludźmi (w Europie), mówić nie umie. Nauczyła się po arabsku. Ale zamąż za araba nie chciała — chociaż nawet ieden bogaty „marcanti" chciał się z nia żenić. Cóż pani chce — dzisiai każda kobieta myśli tylko o swobodzie. Dżinny ją opętały. Niechcą domu pilnować, ani dzieci niańczyć. Mauvais — tres mauvais. Ale pannie Wagner Allah przebaczy, bo dobra dia „meskin", dla biednych. Ile razy papa przyśle jej pieniadze, to wszystko w jeden dzień wyda. Raz to masę pieniędzy, ho-ho, aż całe tysiąc franków wyrzuciła, na „diffe" dla Arabów. A innym razem urządziła la fantasia. To było „très zouli".

Wyobrażam sobie, jaka to była uciecha, gdy na płowym stepie el-golea'ńskim zaczęli harcować, na smukłych, nerwowych meharach brodaci jeźdźcy, czarni, jak djabły. „La Fantasia" — to coś w rodzaju dżigitowki kozackiej: cyrkowe łamańce na spadzistych garbach mehar, wskakiwanie w biegu na chybotliwe siodła, zwane rahlami, podnoszenie w galopie sztyletów, rzucanych na ziemię... „La Fantasia" — turniej oszalałych wielbłądów na piaszczystych wertepach pod rozgwieżdżonem niebem.

Dowiedziałem się od innych, bardziej wiarogodnych informatorów, mianowicie od oficerów z żandarmerji saharyjskiej, strzegącej Hoggaru, że panna Wagner mogłaby współzawodniczyć z najdzielniejszymi merystami Sama posiada własny oddziałek złożony z równie niespokojnych, jak i ona osobników, ma łka wyścigowych wielbłądów i urządza dzikie rejdy na pustyni. Ostatnim razem wyruszyła w góry Hoggaru, wgłąb wulkanicznej, pełnej jarów i tajemniczych pieczar Kudji, opisanej tak sugestywnie w „Atlantydzie", przez Benoit, który tam zresztą nigdy nie był. Pojechała ze swym oddziałkiem łazików arabskich, sama przebrana za arabskiego jeźdźca, zaopatrzywszy się w bukłak z koziej skóry pełny wody, w worek daktyli, worek prosa na kus kus i kilka butli anyżówki. I tyle ją było widać.

W ciągu sześciu miesięcy w jej białych i różowych domach w El Golea, Tamanrasset i w czerwonej sudańskiej lepiance w In Salah — panowała głucha cisza. Od czasu do czasu jakiś sokhar, wracający z karawaną z Tin-Zauaten, opowiadał, że na jednym ze szlaków widział „la Wagner", galopującą w niewiadomym kierunku. Nadchodziły też wieści od łazików, co się natknęli na jej obozowisko i przy wspólnym ogniu rozniecanym z suchych traw i wielbłądziego łajna, jedli podpłomyki i zapijali je wodą z anyżówką. Później wogóle przestano o niej mówić. Radjostacja w Tamanrasset, „stolicy" Hoggaru, ukrytej na szczycie Kudji, zaczęła się niepokoić. Sierżant-telegrafista Massiejew raz poraz telegramy słał do In Salah z zapytaniem, co słychać z panną Wagner, ale radjostacje w In Salah, Tin Zauaten, w El Golea, Timmimunie i Uargli odpowiadały — „brak wiadomości".

Aż raz, w sześć miesięcy od dnia jej wyjazdu, kilku oficerów, wracających do obozu kompanji saharyjskiej, zboczywszy ze szlaku Iniker-Tit, wijącego się w fantastycznych zygzakach, wśród skał podobnych do smoków, znalazło w jednym z wąwozów dziwaczne obozowisko.

W cieniu pokracznego etelu, pod tuareskim namiotem ze skóry bawolej leżała, zawinięta w zniszczony burnus, wynędzniała i napół przytomna „mademoiselle Wagner".

Na widok białych ludzi zerwała się z posłania i zaczęła w malignie obrzucać ich obelgami. Nie chce wracać do wrogiego świata, nikt jej nie zmusi, by wsiadła do samochodu... Jeżeli Allah chce, żeby umarła — umrze tutaj, na odludziu, na tle tego księżycowego krajobrazu, gdzie zdążyła już zapomnieć o istnieniu cywilizowanego świata.

Musieliśmy ją skrępować jej własnym burnusem i wsadzić do samochodu. Miała 40 stopni gorączki. Zwykła rzecz — atak febry i porażenie słoneczne, w dodatku początki szkorbutu, wskutek niedostatecznego odżywiania.

— Gdzież się podzieli jej towarzysze, wierna gwardja małej Antinei?

— Mademoiselle zapewniała nas, że udali się po żywność i zioła lecznicze do najbliższej zeriby, ale zdaje się, że poprostu zabrali jej najlepsze mehary, a zostawili tylko dwa na pół żywe wielbłady, na których nie ujechałaby dwudziestu kilometrów.



Ostatnia wiadomość, jaką miałam o pannie Wagner, sięga kilku miesięcy wstecz. W liście, jaki nadszedł z rajskiej El Golea, moi saharyjscy znajomi nie omieszkali dodać w post scriptum:

— „Ona" znowu urządza wyścigi, na Saharze...

Drugą dziwożonę spotkałam osobiście trzy lata temu między Uarglą, a Tuggortem. Piękna, wysoka jasnowłosa Walkirja, o wybitnie nordyckim typie, stała przed namiotem, zresztą komfortowo urządzonym i kłóciła się ze starym Arabem, który wzywał Allaha i proroka, na świadków swej krzywdy. Chodziło o to, że dziwożona domagała się od brodatego sokhara, aby jej za cenę 25 franków wypożyczył wielbłąda, tego trzeciego od końca, który utyka na nogę, a w dodatku ma odparzony garb. Arab nie pojmował, poco jasnowłosej damie, która przyjechała samochodem, a mieszka dla własnej przyjemności w wykwitnym namiocie, potrzebny kaleki wielbłąd. Nie chciał wierzyć, że „madame" chce go wziąć na leczenie i że go potem zwróci.

— Dwadzieścia pięć franków dostaniesz — powtarzała po francusku, twardym niemieckim akcentem. — Wielbłąd jest chory, ciężarów nie może dźwigać. Popatrz, jaką ma ranę na garbie. Sam na tym zły robisz interes. Za parę dni będzie miał zakażenie i zdechnie. A ja ci go wyleczę i zwrócę zdatnego do pracy.

Arabski autobus jadący z Ghardaia, naładowany po brzegi tłomokami i ludźmi, nie mógł dłużej popasać, więc i ja wówczas nie poznałam bliżej tajemniczej przyjaciółki wielbłądów. Spotkałam ją później w Biskrze, nie w transatlantyckim palace hotelu, który stanowiłby najodpowiedniejsze tło dla jej przepysznej sylwetki, ale w nędznej chacie z obejściem rozbrzmiewającem jękliwym rykiem chorych osłów, gniewnem chrapaniem wielbłądów i bekiem kóz.

Piękna pani Karin, arystokratka duńska, zamężna za Niemcem, potomkiem historycznego rodu, przybyła raz do Afryki, zapuściła się wgłąb Sahary i to jej wystarczyło, by zatruć jej duszę nieuleczalną nostalgją. Sahara jest jak morfina — należy jej unikać, bo inaczej jest się straconym dla świata ludzi osiadłych, zrównoważonych i wprzęgniętych do kieratu zarobkowej pracy. Nie wiem, czy droga, jaką pani Karin wracała na pustynię była ciernistą, czy też gładka i różami usiana — wiem jedno — młoda, światowa kobieta porzuciła dom i męża, zerwała z rodziną i zamieniła się w trampa. Dzisiaj przenosi się z miejsca na miejsce, na pustyni wielkiej, jak umarła planeta, rozwija namioty nad słonemi bagniskami Ued Rhirhu, w malowniczym wąwozie El Kantary, w piaskach ubogiej wsi murzyńskiej Uargli, w labiryncie mozambickiej szebki, albo w cieniu szumiących palm i czeka na przechodzące karawany.



— Gdybym tylko folgowała kaprysowi — mówiła mi jakby tłomacząc się i sumitując — tobym najchętniej włóczyła się, na podobieństwo Izabeli Eberhardt po Saharze, aż do śmierci, ale ona miała duszę rosyjskiej nihilistki, ja zaś nie wyzbyłam się jeszcze świadomości, że muszę być pożyteczną — jeżeli nie dla ludzi, to przynajmniej dla zwierząt. Ludzie wschodu są okrutni, ich wielbłądy i osły mają istne piekło— postanowiłam więc w miarę możności ratować poranione, kulawe osiołki, dźwigające na odparzonych grzbietach wory z daktylami i mąką, postanowiłam wynajmować chore wielbłądy i leczyć ich straszliwie poranione garby, które nieraz pod przykryciem z samodziałów ociekają krwią i ropą. Płacę 25 franków za łaskę, jaką jest wypożyczenie mi na dwa tygodnie, chorego zwierzęcia. Moja w tem głowa, żeby je odkarmić i wyleczyć. Arabowie patrzą na mnie, jak na warjatkę, mówią, że jestem „mahboul", ale 25 franków robi swoje. Dzisiaj mam już w schronisku stałych pacjentów, na leczeniu.

Wiem także, że pani Karin kupiła dom z ogrodem, w Bone, w północnej Algierji, który jest oberżą dla bezdomnych łazików. Każdy tam może zapukać, z prośbą o łyżkę strawy. W dużej sali znajdzie się zawsze miejsce, dla kilkudziesięciu nędzarzy.

Gdy się żegnałam z jasnowłosą dziwożoną, szepnęła mi na ucho, że „na przyszły raz" zastanę ją gdzieindziej. Zamierza bowiem osiedlić się na stałe, w szczerym „bledzie", to jest na pustyni. Będzie obozować po arabsku, pod namiotami, a do Biskry — zaglądać będzie tylko wtedy, gdy jej głód dokuczy.

— Czy pani zna książki Izabelli Eberhardt? — zapytała mnie wkońcu. To patronka wszystkich niespokojnych dusz. Myślę, że i ja, i panna Wagner (więc i ona także wie o pannie Wagner), jesteśmy trochę zaczarowane przez Izabellę Eberhardt. Sama Sahara rady by nam nie dała, ale wystarczy przeczytać życie szalonej dziewczyny, która w przebraniu arabskiego jeźdźca wiodła egzystencję bezdomnego włóczęgi, zdołała nawet zostać mnichem muzułmańskiej konfraterni, aż wreszcie — o ironjo — utonęła w saharyjskiej rzece koło Ain Sefra — w jednej z tych rzek, które po paru latach napełniają się wodą i występują z brzegów, wystarczy przerzucić karty jej pamiętnika, aby uwierzyć, że marzenie o życiu na pustyni, zdala od kamiennych miast, straszniejszych od więzienia, może stać się rzeczywistością. Trzeba tylko umieć chcieć.

Ludwika Ciechanowiecka.



Kobiety piszą

Zdawałoby się, że bardzo „niemodne" są dziś takie rozmowy. Gdzież to zbierają się ludzie, pragnący pogawędzić, oderwać myśli od szarzyzny dnia, zamienić się miłemi uśmiechami i błyskotliwem słowem? Dawny salon, niezaprzeczona domena kobiety, zniknął z powierzchni życia towarzyskiego. Zastąpił go w najlepszym razie pokój brydżowy, pełen papierosowego dymu i zapalczywych okrzyków — cztery karo, dwa bez atu, contra — i tym podobne, albo... kawiarnia. Tam właśnie, przy dźwiękach hałaśliwej muzyki i nigdy niemilknącego gwaru tysiąca osób, cieszy się dzisiejszy człowiek namiastką rozmowy towarzyskiej, mówiąc o byle czem, o pogodzie, o ciężkich czasach, o interesach, opowiadając wątpliwej wartości kawały.

Kobiety mówią także o fatałaszkach, o sługach, o przyjaciółkach. Po dwóch, trzech godzinach takiej rozmowy wstaje się od stolika z próżnią w głowie i niesmakiem w duszy, z przeświadczeniem, że oto przemarnowało się wieczór.

Salon dawny, przedwojenny salon, gdzie się miło przegawędziło niejeden wieczór, w towarzystwie ludzi kulturalnych i *starannie dobranych* jest dziś podświadomą tęsknotą niejednej kobiety. Coby pragnęła w nim mieć? Przedewszystkiem odpowiedni poziom rozmowy. Salon literacki — to może trochę za odległe marzenie, jak na dzisiejsze, pędzące bez tchu naprzód życie. Wykwintny cień madame Recamier — władczyni doskonałego salonu literackiego za czasów pierwszego cesarstwa, a także wspomnienie niedawno zmarłej hrabiny de Noailles, świetnej poetessy, uroczej gospodyni współczesnego literackiego salonu, są może jako wzór zbyt nieosiągalne. Trzeba zacząć skromniej.

Nasze pierwsze zebranie literackie, które dziś właśnie inaugurujemy, będzie miało nieco skromniejszą oprawę; może to być mały, zupełnie skromny salonik, z filigranowemi krzesełkami, pokrytemi spłowiałym jedwabiem, z bukietem świeżych astrów, stojącym na okrągłym, trochę chyboczącym stoliku; może być również, pokój pracy pani, z wielkiem biurkiem, założonem stosem papierów i rachunków, a może być poprostu stołowy. Zbierzemy się wszystkie, interesujące się książkami koło dużego stołu, pod jasną lampą i pijąc herbatę, pomówimy o literaturze.

O czem dzisiaj. Może o tem, co napisały kobiety w ciągu ostatnich paru miesięcy. Nazwiska mamy na dziś pierwszorzędne: Nałkowska, Zarembina i Pola Gojawiczyńska. Trzy nazwiska, trzy książki, trzy zupełnie inne spojrzenia na otaczającą nas rzeczywistość.

Ostatnia powieść Zofji Nałkowskiej p. t. *Granice*, różni się od poprzednich prac tej świetnej autorki bardziej skomplikowanem zagadnieniem. Dawniej jeszcze przed wojną i nawet trochę po wojnie, pisała Nałkowska dużo o kobiecie i o miłości. Temat stary jak świat, pod świetnem piórem naszej akademiczki nabierał świeżych barw, wykazywał nowe, niezbadane dotąd tajniki. Ukoronowaniem tych spraw była Niedobra miłość. Któż jej nie czytał? Wśród książek o miłości zrobiła Nałkowska jeden wyłom napisała książkę nie kobiecą, a ogólno-ludzką, o nacjonalizmie, jeżeli można tak zgrubsza ująć jej ideologję. To świetne „Choucas". Teraz wydane „Granice" — to także książka ogólno-ludzka, bardzo wnikliwa. Autorka sięga tutaj do zagadnień podświadomości. Sprawa zakłamania się człowieka, aż do granicy, gdzie nie może już wrócić do samego siebie jest sprawą rozpatrywaną na kartkach tej ciekawej, choć może zbyt zagmatwanej książki.

Realizm akcji plącze się ciągle i beznadziejnie z jej filozoficznym nurtem, w mijaniu się tych dwóch prądów wytwarza często luki myślowe. Można je zapełnić przy odrobinie wysiłku i dlatego książkę trzeba przetrawić, nie można jej tylko przeczytać.

Podejście Ewy Zarembiny do rzeczywistości, jest znowu nawskroś mistyczne. Jej książki p. t. Wędrówka Joanny — to spojrzenie od tej trzeciej, nienazwanej strony życia na kobietę, szukająca miłości. Cała wędrówka tej młodej, wiejskiej dziewczyny, od jednego skrawka cudzego życia do drugiego, jeszcze bardziej cudzego, wydaje się nie rzeczywistością, a snem, złym, koszmarnym snem. Wiejski zabobon jest stałym towarzyszem tej dziwnej wędrówki Joanny i przy akompaniamencie jego ponurej interpretacji dziewczyna dowiaduje się każdorazowo, że miłość, to jest zła siła. A jednak... Odnalezienie przy końcu własnego płomiennego szczęścia przekreśla odrazu całe poprzednie bolesne doświadczenie. Żegnamy Joannę w największym rozkwicie szczęścia, chociaż jakiś ostatni, przykry zgrzyt, pozostawia nam pewien niepokój o jej losy. Drugą część powieści, p. t. „Ludzie z wosku" — która zapewne niedługo się ukaże, opowie nam, czy mieliśmy rację.

Ale to nietylko Joanna obchodzi nas w tej całej sprawie. Autorka zaludniła swoją książkę całą masą postaci drugoplanowych, które po swojemu żyją i działają. Te postacie są tak plastyczne, że często przygłuszają, niweczą Joannę. Widzimy ją jako symbol (co jest bardzo charakterystyczne dla twórczości Zarembiny) i doskonale rozumiemy jej rolę w sytuacjach, wobec których żywo staje nam przed oczami Ewangelja, ze swą mocną, patetyczną prostotą. Cudem w tem wszystkiem jest także styl. Poetycki, obrazowy, mocny, bez cienia ckliwości. Najczystsza poezja, zaklęta w prozę.

Pola Gojawiczyńska jest autorką niezwykle oryginalną. Jej filozofja życia, jest mocnemi więzami związana z rzeczywistością — fotografuje ją, chwyta na gorącym uczynku — interpretacje pewnych przejawów z życia, przychodzi sama z siebie, od wewnątrz, jakby bez woli autorki. Niema tu dwóch obcych nurtów, jak w Nałkowskiej; wszystko płynie jednym korytem, któremu na imię jest, przynajmniej jak w jej dotychczasowej twórczości, — krzyk o sprawiedliwość społeczną.

Ostatnia, głośna powieść Gojawiczyńskiej, p. t. Dziewczęta z Nowolipek — odsłania nam tajniki życiowych tragedyj młodych istot, zamieszkujących wielkie, mroczne kamienice na Nowolipkach. Nowolipiu, Mylnej i w okolicy. Ciemne od brudu i nędzy peryferje Warszawy, wśród których kwitną, więdną i usychają bogate dusze, szlachetne instynkty, a nawet wybitne talenty młodych dziewcząt.

Jest ich wiele, ale Gojawiczyńska wybrała, jakby na chybił trafił, gromadkę zaprzyjaźnionych dziewcząt i w mocnych, realistycznych obrazach skreśliła nam ich losy. Żadna nie wyszła cało z fali życia, z obrazującej ich nędzne mieszkania, suteryny, ciemne sklepiki, izby, usunięte w najbardziej cuchnący kąt podwórka. To nędza zmarnowała te młode istnienia, ale przecież nietylko: każda z dziewcząt potknęła się przedewszystkiem o miłość. I czy przyszła ona do nich ze środowisk, tak samo nędznych, jak one same, czy też z dzielnic arystokratycznych i nieznanych — Marszałkowskiej i Nowego Światu — zawsze była tragiczna.

Wobec tej ponurej przepowiedni — czytelnik usiłuje się buntować. Przecież nie zawsze tak jest, przecież nie wszystkie „dziewczęta z Nowolipek" kończą ostatecznym zmarnowaniem się, wykolejeniem, samobójstwem. Przecież nie każda „dobroczynna" pani jest tak krótkowzroczna, jak ta, która zajęła się Franką. Przecież...

Autorka nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, opisuje bowiem teraz dalsze losy „dziewcząt z Nowolipek". Poczekajmy.

Tak wyglądają te trzy, obok Dąbrowskiej, czołowe autorki Polskie. Na dziś kończymy naszą rozmowę literacką, późno już, 11-ta. Miasto huczy jeszcze coprawda rozgwarem nocnego życia, ale wieś już potrochu zasypia. Spotkamy się znowu wkrótce.

Zofja Miszewska.

William Locke

Uzurpator

POWIEŚĆ



Czytelniczkom, które nie otrzymały prospektu, gdzie był drukowany początek powieści, podajemy skrót pierwszego odcinka.

Jasper Vellacot, obywatel angielski, po zdobyciu wielkiego majątku w Australji, przenosi się do rodzinnej Anglji i zaznacza swój współudział w pracy społecznej, szeregiem dzieł filantropijnych. W dniu uroczystego otwarcia ufundowango przez niego szpitala, w jednej z podmiejskich miejscowości Londynu, poznaje Jasper Vellacot, między innymi, młodą damę z arystokracji angielskiej, która wywiera na nim silne wrażenie.

Rozejrzała się po obszernym hallu. Przez otwarte drzwi widać było salę szpitalną z długim szeregiem białych łóżek.

— Musi pan czuć się szczęśliwym, rzekła nagle, dokonawszy tak pięknego dzieła.

— Dobrze jest, gdy mężczyzna spełni obowiązek — odrzekł po namyśle, ale szczęście...

Urwał w połowie zdania, gdyż sam niebardzo wiedział, co chce przez to wyrazić. Nie mógł przecież oświadczyć Alicji, że te krótkie chwile z nią spędzone, były niesłychanie rozkoszne, nie mógł też zapewniać jej, że bogactwo jest dla niego ciężarem. Wystarczyłoby zacytować słowa Salomona, był jednak za młody, żeby uważać wszystko za marność nad marnościami.

— Szczęściem jest słyszeć pochwały z ust pani.

— Nie szczędzę słów zachwytu pańskiemu szpitalowi, rzekła z przekonaniem, a teraz, na pożegnanie pozwolę sobie zauważyć, że mnie pan ani razu nie zapytał, dlaczego właściwie pragnęłam go poznać...

— Nie przyszło mi to na myśl.

—Nie dziwi się pan dlaczego, po dziesięciominutowej rozmowie, ciągnęła dalej, zaprosiłam pana do siebie...

— Nie, rzekł z prostotą.

— Chciałam przypomnieć panu, że jesteśmy skuzynowani.

— Skuzynowani... powtórzył jak echo. Alicja uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Matka moja jest z domu Vellacot, brat jej nazywał się Jasper Vellacot.

Bardzo miał niepospolite imię. Wyjechał on w młodym wieku do Australji i prowadził awanturniczy tryb życia. Poczem zniknął. Pan się nazywa Jasper Vellacot i wraca pan z Australji. Jest pan za młody na to, aby być moim wujem, ale trudno przypuścić, żeby Jasper Vellacot z Australji nie był przynajmniej synem mojego wuja. Doszłam więc do wniosku, że jest pan moim kuzynem.

Jasper wytrzeszczył oczy i zbladł

— Nie mam pojęcia kim byli moi rodzice, odezwał się wreszcie, jestem podrzutkiem. Prości ludzie, którzy mnie wychowali zapewniali mnie, że nazywam się Jasper Vellacot. Odumarli mnie, gdy byłem dzieckiem, dostałem więc innych opiekunów. Chociaż posługiwałem się tem imieniem i nazwiskiem, uważając je za swoje, to jednak nie jestem pani kuzynem. To niemożliwe...

— Ależ jest pan nim z pewnością. Dowodzi tego historja z podrzutkiem. Zresztą w każdej romantycznej historji jest szczypta prawdy. Co do mnie, nie mam cienia wątpliwości — dodała z uśmiechem i skierowała się ku drzwiom.

Jasper chrząknął i zwilżył wargi językiem, poczem szepnął:

— To być nie może...

— Niech się pan nie przejmuje, rzekła znowu, jestem materjałem na bardzo miłą kuzynkę.

— Pani jest córką earla Illingham, rzekł Jasper.

— Ojciec mój jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, dodała, śmiejąc się głośno, omówimy to wszystko innym razem, za następnem widzeniem.

Odprowadził ją do samochodu, w którym już zajęli miejsca państwo Dykes. Mruknął bezmyślnie parę banalnych słów na pożegnanie. Samochód ruszył z miejsca. Jasper szedł jak we śnie po schodach krytych czerwonym chodnikiem. Nerwowym ruchem otarł pot z czoła, poczem zmiął chustkę i zwinął ją w kulkę.

Z kąta wielkiego przedsionka wyłonił się mały człowieczek, o ptasiej twarzy, ze sterczącemi, siwiejącemi wąsami i popatrzał nań badawczo przez okulary.

— Jasper, co ci jest? wyglądasz, jakbyś ujrzał upiora...

— Masz rację. Widziałem upiora. Nie, nie, dodał, nie to co myślisz. Spotkałem krewnych.

Mówiąc to roześmiał się gorzko.

— Nie wiedziałem, że masz krewnych.

— Okazuje się, że oprócz mnie, są jeszcze jacyś Vellacots'owie na świecie. Znalazła się nawet kuzynka.

— Cóż z tego? zapytał mały człowiek, przekrzywiając głowę jak ptak. Zbierz się do kupy, kochany. Pamiętasz chyba co lady Macbeth powiedziała mężowi? Ty przecież nie jesteś lady Macbeth.

— Ale upiory mogą mi pewnego razu złożyć wizytę i zasiąść przy moim stole, odrzekł miljoner.

— Jeżeli się ośmielą, to im pokażę. Nie łam sobie głowy, idź i staraj się błyszczeć wśród świattych osobistości, które cię zaszczyciły swą obecnością.

Mały człowieczek poklepał poufale miljonera po ramieniu i pchnął go do salonu. Jasper wybuchnął śmiechem. Tom Cudby nie spuszczał zeń wzroku, dopóki przyjaciel nie wmieszał się w tłum gości, potem podszedł do jednej z pielęgniarek.

— Jeżeli ktoś zapyta, czy pani widziała ostatnie wcielenie św. Franciszka z Assyżu, może pani odpowiedzieć twierdząco. Niech pani dobrze się przyjrzy Vellacot'owi, niema takiego drugiego na świecie.

— Słyszałam, że jest niebywale dobroczynny, odpowiedziała pielęgniarka, a pan widocznie zna pana Vellacot'a, dodała, obrzucając małego człowieczka zaciekawionem spojrzeniem.

— Jestem jego sekretarzem, nazywam się Cudby. Miałem zapewne przyjemność korespondować z panią. Muszę zaznaczyć, że nie zamieniłbym swej posady na stanowisko ministra. Nietylko dlatego, że narobiłbym szalonego zamieszania w kraju, — nieraz przecież robię zamęt w interesach Jaspera, bo nie jestem zbyt mądry, — ale widzi pani... No proszę mi powiedzieć, czy pani służyła kiedyś u anioła, który pod jegerowską kamizelką ukrywa skrzydła?

— Zazdroszczę panu tego młodzieńczego entuzjazmu, rzekła z westchnieniem.

— Gdy pani będzie kiedy smutna, proszę odwiedzić Vellacot'a, zaraz odzyska pani zdolność entuzjazmowania się. Gdy spotkałem Vellacot'a w Australji, byłem, jak to mówią, na dnie. Zabrał mnie do siebie, ogrzał, ubrał, nakarmił, pielęgnował, gdy byłem chory. Posiadałem wówczas zniszczone wydanie Szekspira, takie za sześć pensów, to był cały mój majątek. Zachowałem je, dzięki Bogu, po dziś dzień. Vellacot był niemal tak biedny, jak ja, miał kawał ziemi czarnej, jak popiół, na której nic nie chciało rosnąć. Podlewał ją łzami, a ja skrapiałem ją potem. Pewnego razu, na terytorjum Vellacot'a, wjechał konno jakiś inżynier. Vellacot zaczął, jak zwykle, ubolewać, że na tej podłej ziemi nic się nie przyjmuje. Inżynier schylił się, wziął szczyptę ziemi do ręki i przyjrzał się jej uważnie.

— A co pan chciał sadzić? zapytał.

— Nie mam wielkich wymagań, odrzekł Vellacot, zwarjowałbym z radości, gdyby mi wyrosła jaka marna trawka.

— Trawki mu się zachciewa!... ryknął inżynier, warjat!... Nie widzi pan, co to jest? To jest cynk. Jesteś pan właścicielem kopalni cynku. Masz miljony. No i miał rację. A chociaż Vellacot jest dzisiaj miljonerem, pozostał takim, jakim był, gdy miał w kieszeni miljon pensów. Entuzjazm... Pewnie, że jestem entuzjastą... Vellacot trzymał mnie przy sobie przez szereg lat, chociaż byłem do niczego. Mógłbym pani opowiadać o nim bez końca, — to ósmy cud świata.

Z pasją wcisnął okulary w oczodoły, skinął przyjaźnie ręką zdumionej nurse i udał się na poszukiwanie swego chlebodawcy.

Tymczasem Jasper dał się wciągnąć do rozmowy przez człowieka o wyglądzie wojskowego. Sekretarz poznał w nim majoraSparling'a, przewodniczącego miejscowego komitetu stronnictwa konserwatystów.

— Czy mógłbym z panem porozmawiać na osobności?

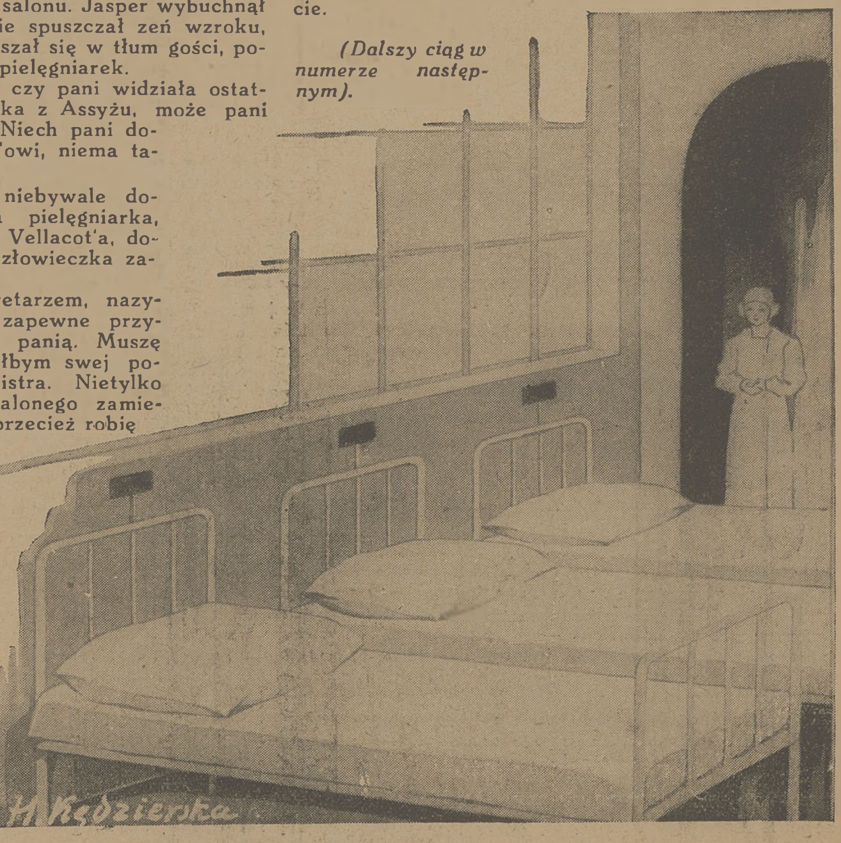
Jasper skinął głową i wprowadził majora do kancelarji sekretarza, poczem wskazał gościowi fotel, sam zaś usiadł na brzegu biurka. Machnął jedną nogą i czekał, aż mu wyłuszczą nową prośbę o subskrypcję, na cele partyjne. Każdy petent zaczynał zwykle swoją piosenkę, nadając twarzy tajemniczy wyraz. W tej chwili Jasper niezbyt się interesował ruchliwym politykiem, — absorbowało go coś innego

— Proszę uważać to co powiem za ściśle poufne, rzekł Sparling. Będę mówić z panem nieoficjalnie, z własnej inicjatywy.

— Doskonale.

Pragnę tylko usłyszeć pańskie zdanie. Po skończonej sesji opróżni się jedno z miejsc. Sir Samuel oświadczył mi dzisiaj kategorycznie, że nie ma zamiaru kandydować. Przeczuwałem, że to się tak skończy. Musimy jednak myśleć o nowym kandydacie.

(Dalszy ciąg w numerze następnym).



Ten głos....

S. Borowska

NOWELA

Towarzystwo zgromadzone w salonie i przyległym buduarze bawiło się doskonale. Janina musiała zaprosić kilkanaście osób, aczkolwiek chodziło jej tylko o trzy kobiety — kobiety jej ojca... Nienawidziły się dopóki żył, nienawidziły się i dzisiaj, siłą nawyku, aczkolwiek mężczyzna, przedmiot ich miłości był już tylko... był już tylko...

Nie mogła bez buntu domyśleć tego zdania do końca. Kochała bardzo ojca. Świetny mąż stanu, esteta i światowiec obnosił długo swoje zimne serce pomiędzy kobietami, czekając, która mu co da, — a chociaż obdarzały go hojnie — zawsze czuł się zawiedzionym. Przez nią dopiero, swą córkę z pierwszego małżeństwa, zrozumiał istotę i tajemne prawo miłości. Była dziewczyną chmurną i nieśmiałą, gdy po rozwodzie z drugą żoną zbliżył się do niej. Podzielił z nią wszystko, co osiągnął był w życiu, zyskał jej najtkliwsze przywiązanie, wydał zamąż i umarł.

Nie, nie umarł. Zginął śmiercią gwałtowną w katastrofie automobilowej... bez ostatniego słowa pożegnania, bez ostatniego w jej stronę uśmiechu. Janina cierpiała potem przez kilka miesięcy na silny rozstrój nerwowy, a najboleśniejszą jej idée fixe była myśl, że przecież on sam nie wie dotąd, że już nie żyje! Ten rzut auta o przydrożne drzewo był tak gwałtowny, tak druzgocący, że o jakiemkolwiek zdaniu sobie sprawy z faktu — mowy być nie mogło.

Naprożno lekarz, do którego mąż zaprowadził Janinę tłomaczył jej, że tem lepiej dla zmarłego, iż był nieświadom własnego końca. Ten zgon szybki jak błysk pioruna, to urwane nagle istnienie wywracało jej równowagę psychiczną. Szukała wciąż dokoła siebie wibracji tego zahamowanego niespodziewanie życia. Stała u progu obłędu.

Wszystko jednak minęło. Pozostał głęboki, cichy smutek i kilka pamiątek: listy, fotografie, wspomnienia, parę czarnych dysków na których, dla niej wyłącznie, uwiecznił swój wspaniały baryton, — no i trzy serca niewieście... Trzy serca, w których królował za życia, w których została na zawsze ukryta jakaś wiedza o jej ojcu. Wiedza jej nieznana. Musi ją posiąść... Choćby wbrew woli tamtych kobiet.

Długo obmyślała sposób, bo jednak były oporne, udawały obojętność, niezrozumienie.

Znalazła wreszcie... Ten jego głos...

Był to głos przedziwnie piękny.

Janina pamiętała pewne zdarzenie z dzieciństwa. Miała lat dziewięć, gdy pewnego wieczoru, uproszony przez nią, zaśpiewał dla niej wyłącznie jakąś piosenkę. Matka zawsze niezadowolona i miłośnie agresywna względem męża, wybiegła z salonu, śmiejąc się histerycznie, a Janina, oczarowana, wyskoczyła za nim aż do przedpokoju. Uczepiwszy się poły jego marynarki, spytała zaciekawiona:

— Tatusiu, powiedz mi, jakie kobiety się tobie najwięcej podobają?

Pamięta jeszcze zdumione oczy ojca, gdy pochylony ku niej powtórzył jej słowa?

— Jakie kobiety?... podobają mi się najwięcej?... Kobiety?... Mnie?

Roześmiał się wreszcie głośno, pocałował ją w czoło i wykrzyknął jakby z ulgą:

— Ależ oczywiście, że takie, jak mamusia!

Nałożył kapelusz i wyszedł.

Janina wiedziała, że powiedział nieprawdę. Wkrótce potem rozwiódł się i ożenił powtórnie. Matka nie przestała go kochać. Lecz miłość kobiety zawiedzionej składa się z gorzkich ingredjencyj: obmowy, niedyskrecji, podejrzeń, urazy, zazdrości, niewolniczego uwielbienia i zdrady. Sycąc tem swoje odtrącone serce — matka pomnażała tylko własną niedolę, a Janina przy jej boku miała życie smutne i samotne.



Druga żona jej ojca posiadała wiele zalet. Była przedewszystkiem idealną matką. Wydłubałaby bez wahania oko innemu człowiekowi i dała swemu dziecku do zabawy. Obdarzyła ojca jeszcze jedną córką. Janina spotykała tę dziewczynkę nieraz z boną na spacerze, w parku Ujazdowskim i pomimo zakazów matki zawarła z nią potajemną przyjaźń. Dowiadywała się od niej szczegółów o ojcu i jego pożyciu z macochą. Nie było szczęśliwe. Po kilku latach rozeszli się. Przyrodnia siostra poinformowała Janinę:

— Mamusia zanadto całowała się z panami i tatuś się obraził.

Trzecią kobietą jej ojca była niejaka pani Laura. Matka spotykając ją na ulicy lub w cukierni zwykła mawiać niemal głośno?

— Oto jeszcze jedna kochanka mego męża...

Janina po śmierci ojca nawiązała i z nią znajomość, ale nie dowiedziała się niczego. Dama ta obnosiła pomiędzy ludźmi tragiczną nudę kobiet nie rozumiejących życia poza kręgiem swej miłości.

**
*

Gdy ożywiona rozmowa przycichła nieco w salonie, Janina podeszła do stolika, na którym stał doskonały patefon.

— Państwo pozwolą... trochę muzyki?... powiedziała głośno, z niewinnym uśmiechem, obiegając oczami grono zebranych, czy państwo mają ochotę posłuchać?

Nie mieli najmniejszej ochoty, ale niepodobna było zaprotestować. Janina własnoręcznie założyła dysk. Lekki szmer, jakby czarne, tajemnicze pudło nabierało rozmachu, a potem wyraźne słowa spekera wymawiającego imię, nazwisko jej ojca i tytuł muzycznego utworu — przebrzmiałego już dawno przeboju — wreszcie ten głos, jego głos:

„Noc szara, smutna jak łza....
„Noc taka przez wieki trwa..."

W salonie cisza, wywołana nie grzecznością towarzystwa, a zdumieniem. Ten i ów myśli pod adresem pani domu: ...En voilà une qui n'est pas commode...

Janina kładzie rękę na poręczy najbliższego fotela. Nic nie widzi. Ciemno jej w oczach. Nie może obserwować twarzy trzech kobiet. Och, żeby tylko nie zemdleć...

I naraz krzyk, histeryczny krzyk i śmiech. To jej matka. Tak śmiała się i wtedy, przed laty. Janina odzyskuje równowagę i widzi: matka siedzi blada, przy niej stoi tkliwie pochylony ojczym i szepcze coś do ucha, — a że jest lekarzem — trzyma ją za puls.

W porządku.

Co robi macocha? Przecież i jej serce musiało drgnąć na dźwięk jego głosu...

O tak, serce jej drgnęło ścisnęło się i zwarło jak... mściwa pięść. Na ustach ma triumfujący uśmiech, oczy zdają się mówić:

— Śpiewaj sobie, śpiewaj, ile chcesz. Ja wiem, że ciebie już niema i że mnie dłużej dręczyć nie możesz...

Janinie krew uderzyła do głowy. Szuka wzrokiem tej trzeciej. Pani Laura leży bezwładnie w fotelu, jak niedbale rzucona, jedwabna szmata. W twarzy ma tragiczną nudę kobiet nie rozumiejących życia poza kręgiem swej miłości.

Patefon niewzruszony śpiewał dalej:

„Bajką byłaś dla mnie ty...
„Nie wrócą nasze dawne sny..."

Nagle staje się coś nieoczekiwanego... Janina otwiera szeroko zasnute łzami oczy, wszyscy zebrani podnoszą zdumione głowy.

Z przyległego buduaru wychodzi smukła postać dziewczęca, prześliczna panna w białej sukni. Znają ją tutaj wszyscy, a jednak w tej chwili nie poznają. Jest zupełnie przeistoczona. Wygląda jak złotowłosa zjawa, nietknięta jeszcze przez życie młodość, uosobienie budzącej się poraz pierwszy kobiecości. W lekko zmrużonych szafirowych oczach ma patetyczny wyraz urzeczenia. Rozchylone zlekka usta zdają się tłumić odzew na wołanie tego cudownego męskiego głosu:

„Miłość... To upojenie...
„to ukojenie... i gorzkie łzy..."

Śpiew milknie. Młoda panna budzi się jakby ze snu. Lunatycznym krokiem doszła była aż do Janiny, stojącej przy patefonie. Teraz patrzą na siebie zbliska: Janina poprzez lekką mgłę rozczulenia, młoda dziewczyna jakby z zażenowaniem. Padają naiwne, gorące pytania:

— Proszę, pani, czy ojciec pani...?
— A czy pani swego ojca...?
— A czy pani ze swoim ojcem...?

Elegancki młodzieniec o wywatowanych barkach prześlizguje się do białej panienki, mówi coś dowcipnego i będącego na czasie... Dziewczyna krzywi usta.

— Och, cóż za piskliwy głos, co za banalność, jak mogła flirtować z nim przez cały wieczór!

Na sali nastąpiło już odprężenie. Zebrani chcą wynagrodzić sobie kwadrans milczenia wzmożoną wymianą zdań i złośliwych uwag. Siwy mecenas opowiada dowcipnie pieprzną anegdotę o artyście — śpiewaku Reisenauer'ze i ginekologu Neugebauer'ze, na dźwięk której piekły raka nasze babki.

Matka odzyskała już rumieńce. Wsparta (moralnie) o zrównoważone lekarskie przywiązanie drugiego męża, uśmiecha się pogodnie, konstatując fakt, że jeszcze... jeszcze nie wieczór...

Macocha wymienia z młodym publicystą, przez szerokość salonu, spojrzenie tak pełne zuchwałych obietnic, że stałyby się niewątpliwie jawnym skandalem, gdyby choć w połowie mogły się zrealizować.

Pani Laura jest poprostu mumją i Janina czuje, że wykreśli ją, po tej nieudanej próbie, z listy swoich znajomych.

Janina za smutkiem i jakby nie à propos przypomina sobie słowa ojca, gdy chwalił ją za jej odrębność, za to, iż nie jest „współczesną" młodą kobietą...

Gdybyż wiedział, jak ciężko jest nie być sharmonizowaną z gromadą... Nie kłaść szminki na twarz, nie kłaść szminki na duszę...

Młoda panna, w białej sukni trwa jeszcze ciągle pod urokiem patefonu... Prawi same impertynencje oblegającej ją młodzieży.

Janina własnoręcznie, z pietyzmem układa czarne płyty więżące głos jej ojca. Przeżyło w nich, ocalało od zatraty to coś cudownego, co było kwintesencją, jego charme'u, najistotniejszą cząstką tego uroku, jaki roztaczał za życia, jakim jarzmił serca kobiece, jakim będzie urzekał jeszcze długo dzisiejsze i następne pokolenia.

Z gorzkim uśmiechem pomyślała równocześnie, że ten jesienny, uporczywy deszcz za oknami wymywa resztki pozłoty z liter wyrytych na grobowej płycie jej ojca.



Małe Niedole Życia Towarzyskiego.

Sztuka zachowania dystansu

Zapytują mnie: — Jak się pani podobała Iksińska? — Jaka znowu Iksińska?

— No ta blondynka, co siedziała obok pani na five'ie u Igrekowiczów. Niezupełnie obok, ale tak naukos.

Wytężam pamięć — mgławica. Najuczciwiej byłoby odpowiedzieć, że nie przypominam sobie tej pani; ale w tym momencie zarysowuje się w pamięci ledwie uchwytny zarys mocno zsuniętego z czoła kapelusza i zgrabna noga w reniferowym pantofelku, cokolwiek za wysoko odsłoniętym w śmiałem zakrzyżowaniu kolan. Mocny, za mocny papieros, uwaga wtrącona nie w porę w moją rozmowę z sąsiadem z przeciwnej strony. Wrażenie raczej nieprzyjemne.

Ogłaszam wyrok: — Antypatyczny babsztyl.

Konsternacja. — Co pani mówi? A ogólnie jest uważana za przemiłą istotę.

Jeżeli „życzliwi" rzuconą nieoględnie definicję odraportują osobie zainteresowanej — zdobywam tanim kosztem całkiem niepotrzebnego, a może i niebezpiecznego wroga.

A jeżeli nie...

Mijają miesiące czy lata... Gdzieś, na jakiejś przypadkowej stacji — pasażerowie zmieniają się. Nowa towarzyszka przygląda mi się uważnie i naraz: — Pani widocznie mnie nie pamięta, a przecie poznałyśmy się napewno — przed rokiem u Igrekowiczów.

Ach, to ta... Iksińska. Uczucie zażenowania, coś nakształt wyrzutów sumienia, bo jednak sąd wyrażony niegdyś o niej był conajmniej... pośpieszny, jak pociąg, którym jedziemy. Chcąc zagłuszyć głos sumienia wpadam w szczebiotliwy ton rozlewności towarzyskiej. — Ależ skąd?! jakże bym mogła zapomnieć tak uroczą kobietę? Jeżeli nie poznałam pani w pierwszej chwili to dlatego, że się pani tak bardzo zmieniła... na awantaż.

Lody przełamane. W ciągu najbliższych godzin okazuje się, że pani Iksińska jest wyjątkowo sympatyczną towarzyszką podróży: — posiada termos z gorącą kawą i olbrzymie pudło czekoladek, zna mnóstwo dowcipnych anegdot, kuruje mój ból głowy niezawodnym „kogutkiem" i aby wypalić papierosa wychodzi na korytarz. Dowiadując się, że jedziemy do tego samego uzdrowiska, odbieram od miłej pani przyrzeczenie, że będziemy się często widywały; wreszcie staje na tem, że staniemy w tym samym pensjonacie.

Staje, stajemy i nie staje się dobrze. Bo pani hojnie częstująca czekoladkami i wrażliwa na cudzy ból głowy — zna stanowczo za wiele anegdot i lubi je opowiadać codzień i co wieczór do późnej nocy, co jest a la longue mocno nużące. Pozatem zachowuje się o wiele zbyt hałaśliwie w towarzystwie panów. Chciałabym jej się pozbyć, ale jak? Przecież się nie wyprowadzę z pensjonatu, skądinąd doskonałego.

Miesiąc wakacji mija szybko; znajomość trwa. Iksińska twierdzi, że przywiązała się do mnie, jak do najbliższej krewnej. Mieszkamy w tem samem mieście — przychodzi z wizytą. Nie mam dostatecznego powodu do zrobienia jej afrontu — rewizytuję z bólem serca i nadzieją nie zastania w domu. Zastaję. Robi się radosny gwałt; zostaję zatrzymana przemocą na kolacji. Propozycja wspólnej wyprawy do kina. Wymawiam się brakiem czasu. — No więc jutro. — Jutro też nie. — To pojutrze. — Przez cały ten tydzień będę szalenie zajęta. — Cóż pani robi? (co ja robię — o Boże!) Mam wizyty, imieniny i pogrzeb w rodzinie, modystkę, krawcową, dentystkę... uufff!!! U kogo się pani ubiera? u Zeta? Doskonale się składa — ja też. Poproszę, żeby mi naznaczył przymiarę zaraz po pani — pójdziemy razem! do dentysty także — właśnie myślałam o rozpoczęciu jesiennego remontu.

„Doskonale się składa" — chodzimy wszędzie razem, nierozłączne jak siostry siamskie. Zaczynam nie znosić, nienawidzieć tej „miłej" kobiety. Kto wie, może ją kiedyś zamorduję i nie będę miała nic do przytoczenia na swoją obronę w ostatniem słowie oskarżonych.

Kto zawinił? Ona, bo jest natrętna? Ale i ja, bo byłam nieostrożna, nie umiałam zachować odpowiedniego dystansu, wytworzyć dookoła siebie właściwego klimatu. — A jaki jest najwłaściwszy klimat? — Oczywiście umiarkowany.

Niepotrzebnie i niesłusznie wyraziłam się szorstko o osobie zaledwie zauważonej. Jeszcze niepotrzebniej zgodziłam się na zacieśnienie stosunków na podstawie mile spędzonych w wagonie godzin. Zbyt rzadko bierzemy pod uwagę bezsporny fakt, że ludzie, podobnie jak rośliny, źle naogół znoszą przesadzanie na inny grunt. Zacności kolega biurowy, w salonie często okazuje się gburem, dziwakiem, albo poprostu osobnikiem śmiertelnie nudnym. Partner sportów może nie nadawać się na partnera do bridge'a, a partner bridge'owy napewno nie będzie przyjemnym towarzyszem turystyki dalekogórskiej. Dlatego też najmądrzej jest znajomości zawarte na określonym gruncie kultywować na tym samym gruncie i nadal, unikać, Boże broń! — zacieśniania ich.

Że ktoś jest miły — świetnie. To jeszcze nie powód, żeby się z nim widywać codziennie, zwierzać mu serdeczne tajemnice i dzielić się zawartością portmonetki. Nawet nie powód do wymiany wizyt. Nigdy nie możemy być zbyt ostrożni w wyborze osób dopuszczanych do naszego rodzinnego ogniska.

Ale i to, że ktoś nie wywarł na nas na pierwsze wejrzenie najsympatyczniejszego wrażenia nieusprawiedliwia braku uprzejmości przy nieuniknionych spotkaniach. Dumne orzeczenie: — Bo ja taka już jestem, że albo do kogoś z całem sercem, albo wcale — w czasach obecnych musimy uznać za nonsens. Życie zmusza nas do stykania się niezależnie od naszej woli z mnóstwem ludzi na najrozmaitszych odcinkach — zawodowym, społecznym, urzędowym, sportowym... Nader ograniczoną swobodę wyboru pozostawia nam życie towarzyskie, bo przecie nie możemy dyktować naszym znajomym wyboru ich znajomych.

Wszyscy ludzie, gdziekolwiek ich poznajemy, niezależnie od uczuć jakie w nas budzą, mają prawo do naszej uprzejmości.. Ale uprzejmość ta tylko w zupełnie wyjątkowych wypadkach powinna się przeradzać w serdeczność, a zwykła znajomość — w zażyłość.

Będą niewątpliwie tacy, co powiedzą, że sztuka zachowywania dystansu to fałsz, brzydkie wyrachowanie.

Nie, to zwykły, zdrowy instynkt samozachowawczy.

Jadwiga Kiewnarska.

Oddychamy

Codzienne ranne i wieczorne ćwiczenia oddechowe, są podstawą dobrego samopoczucia, odporności fizycznej i duchowej, tężyzny i zdrowia.

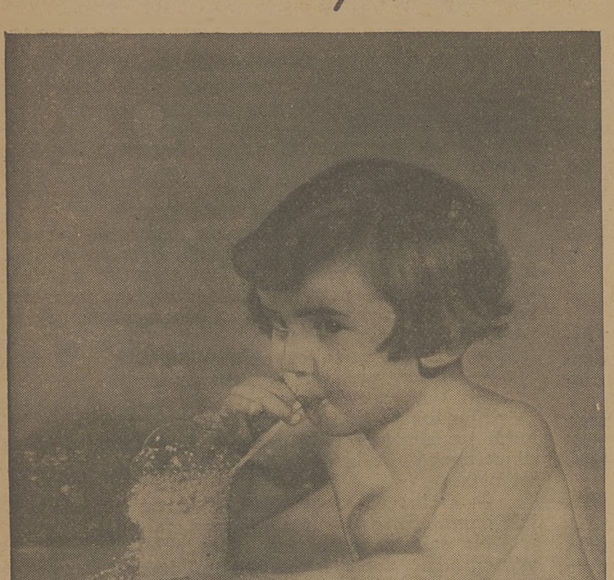
Podstawa sztuki prawidłowego oddychania, to umiejętny wydech, od którego rozpoczynamy ćwiczenia. Pod znakiem wewnętrznego i zewnętrznego spokoju, bez pośpiechu, bez gorączkowego wychodzenia wyobraźnią naprzeciw zagadnień najbliższej chwili, zwrócone twarzą ku szeroko rozwartemu oknu, uwalniamy płuca równym, opanowanym wydechem z wykorzystanego już powietrza.

Wślad za tym głębokim wydechem daje się odczuć napływ „głodu powietrza". Pijmy go wówczas spokojnie, stopniowo, bez wysiłku.

Przy niedostatecznym rozwoju wierzchołków płuc zdarza się trudność nasycenia ich świeżem powietrzem. Łatwo temu przeciwdziałać stosowaniem masażu, polegającego na serji szybkich, lekkich uderzeń prowadzonych ponad piersiami ku ramionom. Masaż taki stosuje się w chwili zatrzymywania powietrza w płucach.

Pod wpływem wyżej wskazanych zabiegów wierzchołki płuc nabiorą wkrótce sprężystej żywotności i daru wchłaniania powietrza z równą swobodą, jak same płuca. Zwykłym objawem, towarzyszącym ćwiczeniom oddechowym, jest żądza westchnienia. Nie powstrzymujmy jej. To diafragma, zniewolona do miarowych ćwiczeń, czuje żądzę odprężenia, którego najdoskonalszą formą jest właśnie westchnienie. Ćwiczenia oddechowe wykonywane nieprawidłowo są nietylko bezwartościowe, ale wręcz szkodliwe, a nerwowej, wrażliwej naturze wystarczą łatwo za podstawę uporczywej migreny.

Bańki Mydlane



Masz tu trochę wody z mydłem w kubeczku
masz słomkę, dmuchaj syneczku,
Wiem, że umiesz to robić z przejęciem i czule
rozlecą ci się po pokoju bajecznie roztęczone kule.
Będą miały wszystkie kolory
dywana królewskiego z bajki
będą jak zachód słońca czerwone
modre jak niezapominajki.
Będą jak motyle nad kwiatami
trwać krótko i świecić bogato
wiem, że mnie zaraz zawołasz,
żebym przyszła popatrzeć na to.
Przyjdę, ale..... kiedy furtka dzieciństwa zamknie
Ach synku, syneczku......
nie pomoże już na smutek serdeczny
trochę wody mydlanej w kubeczku.

Lucyna Krzemieniecka

Melpomena i Ja

Początek sezonu

Spotkałam ją przypadkiem w foyer jednego z teatrów i postanowiłam już się z nią nie rozłączać. Reverendissime — rzekłam (ten tytuł, nie wiadomo czemu wydał mi się najodpowiedniejszy), pozwól towarzyszyć sobie w twych teatralnych wędrówkach. Może przy twojej pomocy zrozumiem jakoś Sztukę przez wielkie S. — Nie szukaj jej tylko nigdy w letnim sezonie teatralnym — odparła zbolałym głosem Melpomena i przysłoniła smutną twarz szatą, upodobniwszy się w tem do Niobe płaczącej.

— Letni sezon warszawskich teatrów jest dla mnie zawsze jednym z boleśniejszych przeżyć — dodała po chwilowej przerwie. — Ale to się już kończy. Jeśli chodzi o ostatnio grane sztuki, to jesteśmy na przełomie: jeszcze trochę ogórków, a już wielki sezon

— No, a wojna teatralna między Boye'm a T.K.K.T*)?

— Dobrze zrobi na początek sezonu. Gdyby nie to, że kuzyn mój, Ares, zajęty jest obecnie bardzo w Abisynji, sprowadziłabym go z Olimpu do Warszawy. Niestety — uważa on, że sprawa abisyńska jest ważniejsza, niż teatry warszawskie. Ja jestem przeciwnego zdania. Spojrzyjmy tylko, jak napada Boy, i jak się broni gmach na Placu Teatralnym — zapasy godne Homera. A publiczność napewno na tem zyska: będzie może miała repertuary staranniej przemyślane.

To mówiąc, muza owinęła się w peplum i skinęła na mnie, że idziemy. Tak oto rozpoczęła się nasza wspólna, t. j. Melpomeny i moja, wędrówka po teatrach warszawskich.

Pierwsze nasze teatralne przeżycia, to był *„Powrót mamy"* — pióra Marji Jasnorzewskiej Pawlikowskiej Jeszcze nie wielki sezon, a już nie ogórkowy uprzejmy rewerans w stronę współczesności, jeden z ostatnich w najbliższym czasie. Potem już długo, długo będzie moda na staroświecczyznę.

Więc „Powrót Mamy" jest ultra nowoczesny. I wesołe, a w każdym razie spokojne z odrobiną nawet humoru spojrzenie, na tak dawniej pęczniejącą od łez sprawę, jak zdrada małżeńska i żywy udział w zagmatwaniach erotycznych rodziców dwojga dorosłych dzieci, i cynizm, i moralność tej sztuki — wszystko. Ale pomimo to sztuka nie jest zła, ani niesmaczna.

Patrzymy na niegentlemeński wybryk młodego chłopca z taką samą pobłażliwością, jak i na szkodliwą i niemądrą gentlemenerję ojca. Wzniosłość matki w tem otoczeniu wydaje się nam przez cały czas nieco ckliwa, a jedyny, idealistyczny „punkt programu" — miłość syna do matki — sztucznie doczepiony. Chcemy w sztuce widzieć krzywe zwierciadło naszego życia i widzimy je. Błyskotliwość dowcipów, żywość djalogów i doskonała budowa całej sztuki — pomaga w tej nadbudowie złudzenia na złudzeniu, niemało. A także „genre" reżyserski Ziembińskiego, który okazuje się sprężystym reżyserem. Jego doskonałe poczucie groteski ratuje sztukę przed tysiącem nieporozumień natury moralnej.

Pozatem... No cóż, pozatem,

*) Towarzystwo Krzewienia Kultury Teatralnej.



Linja

Nadmierna tusza, to śmierć urody, cios zadany zdrowiu i fizycznej sprawności, bolesne nieporozumienie z tyranem kobiecego świata — modą. To też zapowiadana tylokrotnie moda „obfitych kształtów" pozostała, jak dotąd w sferze niezrealizowanych projektów. Kto wie, czy sprawcą nie jest w tym wypadku srebrny ekran, który kształcąc smak estetyczny szerokich mas wyrobił poczucie proporcji, udostępnił kontakt ze światem fizycznej wytworności i urody.

Mullford — przebrzmiały już dzisiaj utopista amerykański twierdził, że: „sami pracujemy na nasze dolegliwości i usterki fizyczne, a potem żądamy dla nich współczucia i szacunku. „Instynkt" kobiety współczesnej docenił prawdę tych słów, każąc jej iść w niewolę régime'u.

Szereg prostych, celowych zabiegów, ćwiczeń, wyrzeczeń. A rezultat? Zdrowie i długotrwała, młodzieńcza gibkość kształtów.

Pozostają jednak kobiety niedbałe, niewierzące, nonszalanckie, zbyt zaufane we własnej młodości. I dla nich jednak nadejdzie kiedyś chwila opamiętania — uciążliwa, niewdzięczna, trudna walka z otyłością.

Uciążliwa? Tak, bo zabiegi stosowane są nieomal męczeńskie, a zbyt szybkie odtłuszczenie organizmu podkopuje zdrowie, wywołuje obwisłość skóry, ryje zmarszczki na twarzy. W walce o linję wybór środków wymaga wiedzy, kierunku, cierpliwości.

Dążenie do odzyskania linji musi uwzględnić trzy zasadnicze czynniki wiodące do upragnionego celu:

1. ćwiczenia i zabiegi fizyczne: gimnastyka, sport, masaż, hydroterapia.

2. środki wewnętrzne roślinne i chemiczne preparaty.

3. najważniejszy ze wszystkich — régime.

Walory codziennej, systematycznej gimnastyki, sportów i masaży nie podlegają już dzisiaj dyskusji. Nie wolno ich jednak stosować, zarówno jak i środków wewnętrznych, bez porady lekarza, w porozumieniu z którym należy ustalić i zarysy régime'u. Nie spodziewajmy się, że najidealniej nawet zalecony i stosowany régime da natychmiastowe wyniki. Trzeba ich oczekiwać nieraz nawet przez szereg miesięcy. Nagrodą będzie jednak odtłuszczenie nieestetycznych obwisłości skóry, zmarszczek, ziemistości cery i zaburzeń funkcyj serca.

Regime spowoduje gruntowną odbudowę tkanek, a w następstwie da trwałe rezultaty: smukłą linję, idealną, młodą sylwetkę ten upragniony cel każdej współczesnej kobiety — estetki.



Zmywanie szminki

Zmywanie szminki z twarzy nie jest czynnością małej wagi i powinno być wykonanem umiejętnie, zarówno w celach higjeny skóry, jak również dla umożliwienia dobrego i estetycznego ponownego maquillage'u.

Zaczynamy od brwi i rzęs, które oczyszcza się przy pomocy waty, zwilżanej wodą różaną. Następnie zdejmujemy szminkę z ust, a czynimy to bezwarunkowo przed maquillage'em twarzy, aby uniknąć przeniesienia czerwonego barwika, nadzwyczaj trwałego, na policzki.

Po dokonaniu tych zabiegów przystępujemy do oczyszczenia twarzy.

Nasuwa się kwestja kremu najlepiej odpowiadającego celowi. Dla skór suchych, lanolina jest najracjonalniejszą. Jest to jednak tłuszcz zimny, nadzwyczaj gęsty i mało podatny. Należy go urobić we wgłębieniu dłoni, cokolwiek rozgrzać i nasycić nim skórę ust i twarzy, przy pomocy lekkich pocierań i naklepywań.

Dla osób nieznoszących lanoliny służyć może krem o podstawie lanoliny z dodatkiem składników modyfikujących jej ujemne strony.

Skóry tłuste oczyszczać należy przy pomocy specjalnych płynów, lub kremu z gatunku tak zwanych obojętnych. Istnieją również mydła przetłuszczone, służące do oczyszczania twarzy ze szminki o cerze tłustej.

Te panie, które oczyszczają twarz z maquillage'u przy pomocy płynów, w których skład wchodzi alkohol, uczynią dobrze opłókując następnie policzki świeżem mlekiem. Krótka kąpiel twarzy w wodzie różanej dokona reszty i przygotuje cerę dla nowego, estetycznego maquillage'u.

V.

Moda jesienno-zimowa na rok 1935-6

O modzie tej krążyły zawczasu wieści niepokojące i niezmiernie fascynujące zarazem. Przedewszystkiem, że ma być i n n a, inna od wszystkich swoich poprzedniczek. Że wszystko ma być radykalnie zmienione: — barwy, kroje, tkaniny. Zwłaszcza tkaniny.

Luksusowe wydawnictwa zagraniczne przynosiły, poparte materjałem dowodowym przepysznych ilustracyj, wieści o tem, że fabrykanci francuscy w porozumieniu z dyktującymi modę Paryżowi (a przez Paryż — światu) krawcami — zamierzają narzucić społeczności niewieściej tkaniny-cuda-dziwolagi, aby zmusić oporną, podległą epidemji oszczędności klijentelę do rzucenia się w wir zakupów „na całego".

Szczytne hasło tej akcji miała stanowić walka z kryzysem, rzekoma chęć zatrudnienia jaknajwiększej ilości rąk roboczych. Usiłowano nawet wprowadzić modę na rękodzieła. Bezkonkurencyjny Rodier na reklamie swych „Manyfyls" umieścił kądziel, skubaną przez pięknie wymanikiurowaną rączkę kobiecą, mającą symbolizować owe tysiączne ręce robotnicze, którym powrót do rękodzielnictwa da pracę i zarobek. Niestety, w pozornej trosce o dobrobyt pracownika, czaił się ukryty zamach na kieszeń klijenta.

Groźną a atrakcyjną nowością mody nadchodzącej miał również być militaryzm. Wrześniowy zeszyt jednego z najpopularniejszych organów wytworności paryskiej przyniósł całą kolumnę ...żołnierzyków ołowianych, a obok i drugą — kobiecych sylwetek łudząco podobnych do tych żołnierzyków. Wcięte stany, wysokie wojskowe kołnierze, husarskie szamerunki, kapelusze naśladujące hełmy i bermyce gwardji angielskiej, filce milicji faszystowskiej, czapki abisyńskie, egipskie fezy, ułańskie czaka i pomponiaste berety francuskiej marynarki. Uczciwy pacyfista mógł dostać morskiej choroby na sam widok takiego obrazka.

Aby obudzić, uśpione przez trudności ekonomiczne lat ostatnich, zamiłowanie do przepychu — messieurs les grands faiseurs odwołali się do autorytetu sztuki renesansu włoskiego, której wystawa w paryskim Grand Palais cieszyła się niesłabnącem powodzeniem przez długie miesiące lata i jesieni.

W paryskich salonach wskrzeszono modę żywych obrazów i zabaw kostjumowych; panowie przebierali się za kondotjerów i paziów, a damy — za dogaressy, madonny i zwiastujące anioły.

Owe rozrywki górnego dziesiątka paryskiej socjety (upper ten) znalazły w ilustracjach modnych wydawnictw odblask tak szybki, że aż podejrzany. Trudno było odsunąć nieufną myśl, że bawiąca się elita dopomaga światu nożyc i igły w tworzeniu nowej, kosztownej mody niezupełnie nieświadomie i niebezinteresownie. Renesansowy przepych tkanin bogatych i ciężkich, przerabianych nicią srebrną, złotą i rdzawą, aksamitów o barwach intensywnych, soczystych — wcielał się w modę.

Praktyczna pani domu, biuralistka o powiekach zaczerwienionych pracą w godz. :h ponadliczbowych, przystojna ekspendjentka, charakteryzująca się bohatersko za „jedne" sto złotych miesięcznie na vamp'a — z trwożną ciekawością przeglądały nadsyłane z Paryża żurnale: — Jakże to będzie? Jak będzie? Na ulicy — huzar; wieczorem — kasztelanka w złotogłowiu i aksamitnych amarantach. I jak w tem chodzić do zajęcia? robić domowe porządki?.. Czy nawet grać w spokojnego bridge'a. A skąd na to wziąć?!

Kiedy nareszcie doszło do pokazów w Warszawie, okazało się, że nie tak paryski djabeł straszny jak go zagraniczne wydawnictwa malują. Dobry smak i wyrobione poczucie rzeczywistości naszych społecznych Poirete'ów, kazały im wyłuskać ze stosu dziwactw i „wrzasków mody" szereg modeli spokojnych, mogących znaleźć zastosowanie w życiu większości kobiet.

Pokazano więc okrycia ciemne (najczęściej: czarne, bronzowe albo ciemno-zielone) lekko wcięte w pasie i nieznacznie rozszerzane w dole. Niektóre z płaszczyków i sukien dziennych miały jako zapięcia — szamerunki, ale niezmiernie dyskretne, stonowane z barwą tła i sharmonizowane z kompozycją całości. Futrzane kołnierzyki i wyłogi uzgadniały zagraniczną modę spacerową z wymogami naszego klimatu.

Wpływ włoskiego renesansu zaznaczył się w modzie rękawów obszernych, długich i niezmiernie fantazyjnych; ale i tu rozległą skalę możliwości ograniczają dobry smak i zdrowy rozsądek, hamujące ekscentryczne wybryki.

Obok dziwności nowych tkanin przerabianych jedwabiem, złotą nicią, cellophan'em, wygniatanych w głębokie prążki — spotykamy starych, wypróbonych w potrzebie przyjaciół: satins i mnóstwo odmian tkanin trykotowych.

Paleta modnych barw jest raczej skąpa; prócz dominującej ponad wszystkiem czerni — gamy bronzów i ciemnej zieleni; modne są też przybrukane odcienie fioletu (prune) i kolor ciemno-szary (marengo). Późnym wieczorem — jasny, srebrzysty błękit, i ciemny granat (w aksamicie). Obok aksamitów noszonych przed i popołudniu, lecz przedewszystkiem wieczorem — modne są na użytek strojny: mory bardzo błyszczące o nowych deseniach, brokaty i mieniące się metalicznie taffetas glaçés.

Tak wygląda zarysowany szkicowo zarys mody na bieżący sezon jesienno-zimowy. W uznaniu ważności zagadnienia obiecujemy wszechstronne i bezstronne rozważenie każdej z poszczególnych pozycyj w najbliższych numerach Tygodnika Kobiety.

Well.

---

sztuka grana jest dobrze, z dwoma wyjątkami: Żabczyńską i Grabowskim, którzy są pierwszorzędni. — Niech żyją, nie tyle stara, ile średnia gwardja aktorska, w odróżnieniu od tej najmłodszej, tak silnie reprezentowanej w „Powrocie mamy". Z młodych, bardzo dobra jest Kamińska, nieco słabsza, za mało wamp — Piaskowska. Ale za to dobrze jest ubrana — szczególniej ten fioletowy, aksamitny kostjum w drugim akcie... panie, lubiące szmatki (a któż ich nie lubi), powinny go zobaczyć. Trzeci akt sztuki ma wszystkiego najmniej: dowcipu, ubrania i smaku. Taka sierota!

Ale wychodzi się z teatru Nowego bez żalu do dyrekcji T.K.K.T. Wieczór był przyjemny!

Zato z „Pana Damazego" wychodzi się na wzniosło. My obydwie — Melpomena i ja — wysoko podniosłyśmy czoła, dumne z komedjopisarza (Bliziński) aktorów (Ćwiklińska, Zelwerowicz, Stanisławski i Wesołowski... no chyba wszyscy pokolei) i z T.K.K.T. — że tę właśnie sztukę wystawiło.

Najpierw bierze człowieka zapach dawności: trochę lawendy, trochę czombru — a potem szum jedwabnej szaty z projektem na tiurniurę, ze ślicznym wdziękiem noszonej przez Ćwiklińską, czyjeś rozmazane miłością oczy (w sekrecie powiem, że to oczy Niny Świerczewskiej), poczciwy tubalny głos starego szlagona.

To jasna strona medalu. Ciemna, to zaciekłe walki o spadek, konszachty, fałsz, intryga, która się na szczęście nie udaje. Myślimy najpierw, że to naiwne i że to było dawno. Aż tu nagle okazuje się, że zupełnie tak samo może być i dzisiaj. Ciocia, polująca na pieniądze — ślicznie się dopasuje do obecnej rzeczywistości, a także rejent, polujący na ciocię z jednej strony, a miły siostrzeniec Seweryn z drugiej. Postacie szlachetne — pan Damazy Antoni, Genio — tak, z temi będzie nieco gorzej. Są bez plamki, a o takich ludzi jest dziś bardzo trudno. Najciekawszy z nich psychicznie Genio ze swoim specjalnie pojętym pozytywizmem ma już jaskrawo dodany szyldzik: made in... druga połowa 19 wieku. Do tej postaci potrzebne jest już szkiełko i oko historyka literatury, żeby potem napisał długą rozprawę o poglądach Blizińskiego na warszawski pozytywizm. Dla nas starczy, że skonstatujemy i pójdziemy dalej. O postaciach Blizińskiego nie potrzeba dużo mówić. Wiadomo zgóry, że są świetnie zarysowane i stoją mocno na swoich psychologicznych nogach. Można zato powiedzieć, jak były zagrane. Tu muszę na chwilę przerwać i zasmucić się: parę lat temu widziałam Frenkla w Panu Damazym. Nie można jeszcze dziś przejść nad tem do porządku dziennego. Teraz tę rolę gra Zelwerowicz. Inaczej, ale cudownie! Ćwiklińska, Zelwerowicz i Stanisławski — to trójca, której można dać złoty, ba, brylantowy medal. Tylko Stanisławski ze swoją jowialną, poczciwą twarzą, wyczynia dziwne łamańce, aby uczynić ją groźną. Nie trzeba, — fałszywa dobroduszność jest czasem aż nadto wymowna.

Amantki — Zielińska i Świerczyńska, przemiłe każda w swoim rodzaju. To dwa bieguny, temperament i syntyment, które się świetnie dopełniają. Amanci — słabsi — Pawłowski, którego z przyjemnością witamy znowu w Warszawie — wskoczył nie w swoją rolę. Szkoda jego wdzięku na „takie coś", jak Seweryn. Pichelski ma doskonałe warunki zewnętrzne — ale jest drewniany. Za to przemiły Wesołowski jest taki, jak zawsze — doskonały.

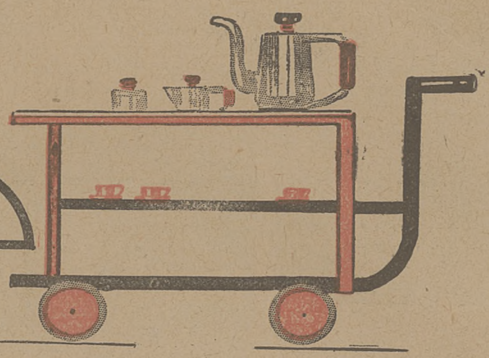
Znudziły mnie te superlatywy i dlatego nic już nie powiem o Krzymuskiej, która także była bardzo dobra. I wogóle nic nie powiem — wychodzę z teatru i zamieniam shakes hand z Melpomena.

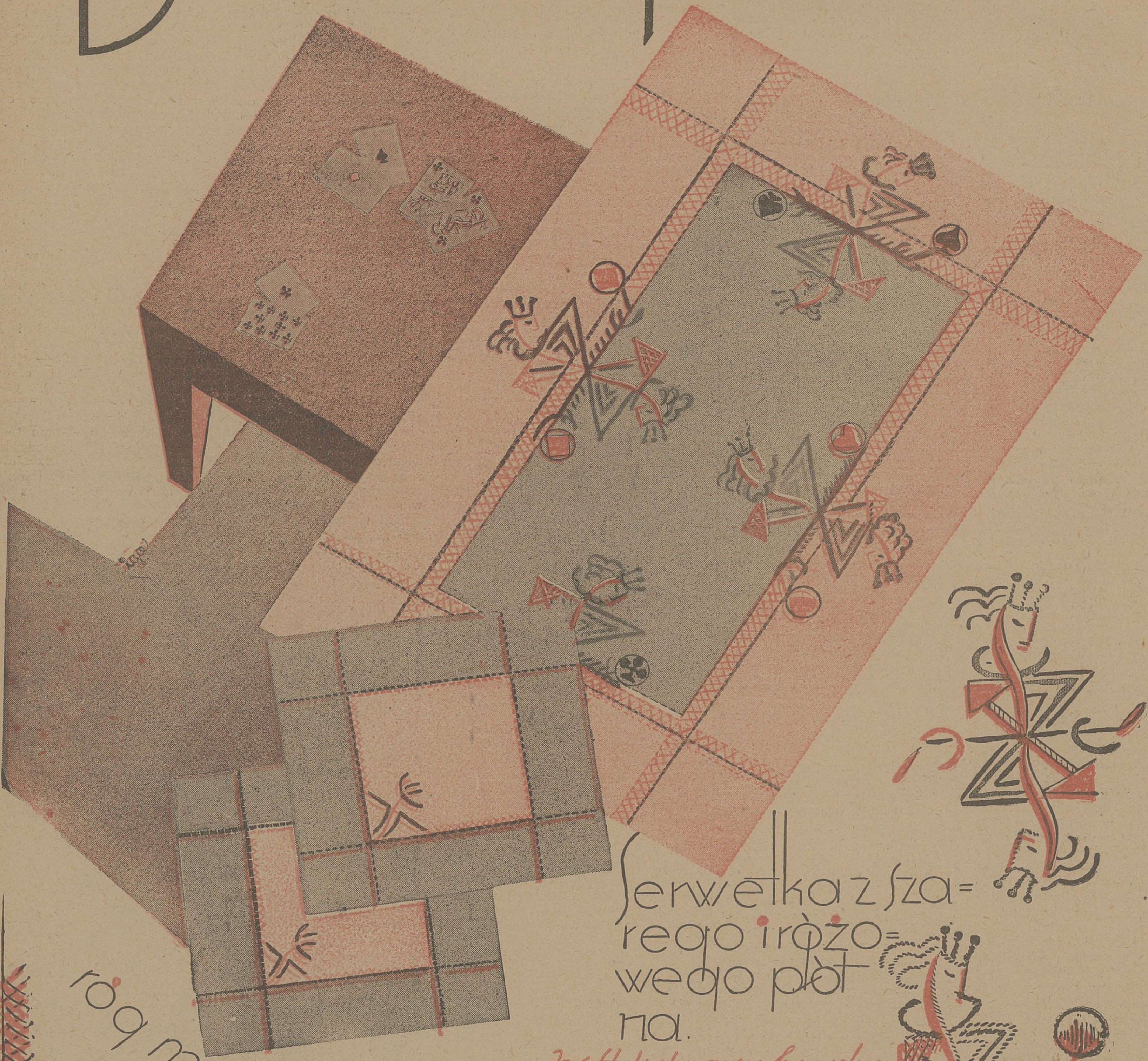
Zofja Miszewska.



Ziembińska, Grabowski i Kamiński w sztuce „Powrót Mamy" Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

Bridge





Serwetka z sza=
rego i różo=
wego płót
na.

haft kolorowy bawełną
mouliné. Ściegi: atłas=
kiem i sznureczkiem
kolor szary = srebrnym
szychem

motyw z dużej
serwetki



róg małej serwetki

W obronie dnia powszedniego

Protestuję!

Protestuję kategorycznie przeciwko szarzyźnie dnia powszedniego, obciążającej nasze życie codzienne złośliwą dziedzicznością zapożyczoną od ludzi zgorzkniałych, od malkontentów, od dobrowolnych cierpiętników, którzy zdają się własnem nastawieniem psychicznem rzucać cień na tarczę słońca.

Tworząc dział zatytułowany „W obronie dnia powszedniego" nie mamy na myśli zaciętej walki o prawa uciśnionej pani domu.

Nie będzie jej jeżeli my same zechcemy być twórcze i wolne.

Obrona dnia powszedniego to nie jakieś koturnowe, pretensjonalne hasło, to nie słowa. To czyn! Przygotowanie do życia, uzbrojenie się przeciwko jego trudnościom: zasobami fachowej wiedzy i doświadczenia, szczerą, pełną zapału, lojalną dobrą wolą. To podejście do wszystkich zagadnień życia rodzinnego z powagą odpowiedzialności prześwietloną serdecznym, pogodnym uśmiechem.

Czas już wkońcu rozebrać dzień powszedni ze zgrzebnej sukienki szytej grubemi nićmi, niedbałym ściegiem, modelowanej niechętnemi rękami.

Odrzućmy przydeptane pokojowe pantofle; zniszczone, niemodne suknie noszone „po domu"; zmięte obrusy; zastawę składającą się z niedobitków gromadzonych latami; niedbale układane codziennie jadłospisy.

Znieśmy nieodwołalnie granice dzielące pojęcia „na codzień" i „od gości". Starajmy się ująć wszystko, co się składa na całokształt życia domowego pod kątem twórczości, a nie przymusu i ofiary.

Nie zapiera się siebie kobieta oddana pracy domowej. Nie zapiera się siebie ani ta, która kieruje służbą, ani ta, która nie mając nikogo do pomocy własnemi rękami urabia kulturalną egzystencję rodziny. Niema już „dusz zatopionych w rosole", jak to głosiły dawniej zgorzkniałe usta kobiet „przykutych" do niewdzięcznej taczki naładowanej znienawidzonemi zagadnieniami dnia codziennego.

Dorosłyśmy do tego, żeby umieć podźwignąć wszystką odpowiedzialność jaką składa na nas życie — odpowiedzialność za drugich i za siebie.

Tylko wtedy grozi nam zatracenie *pod naciskiem szarzyzny życia* domowego jeżeli nie będziemy umiały tchnąć w niego piękna i światła. Nie trzeba ich szukać na jakichś niedosiężnych szczytach. Leżą w zasięgu naszych możliwości, niezależnie od środków materjalnych, od stopnia społecznego, od wszystkiego co idzie zzewnątrz. Światło trzeba mieć w duszy i w sercu, trzeba nietylko tęsknić do piękna, ale umieć je wcielać w życie. Rozumieć, że jego źródłem jest nie to od czego odgradzają nas pieniądze, ale wszystko co możemy własną twórczością podnieść, ulepszyć, zbliżyć do pojęcia o doskonałości.

Estetyka najskromniejszego nawet wnętrza. Czystość, ład, spokój, wygoda. Równowaga materjalna i moralna, harmonja współżycia, ciepła życzliwość, lojalność w stosunku do wziętych na siebie obowiązków. Czyż to zamało, aby uwolnić dzień powszedni z pod zarzutów, które zmieniają go w straszaka?

Niech skrzydła opiekuńcze — symbol powołania kobiety żony i matki — nie rwą się w nieosiągalne przestworza. Ich niebo jest na ziemi. Ich gniazdo potrzebuje osłony.

Jeżeli walka o byt zmusi nas do dźwigania ciężarów: pracy zarobkowej i roli pani domu znajdźmy w sobie tyle tężyzny i siły, aby podołać podwójnemu zadaniu. Chrońmy nasz dom przed dezorganizacją, zaniedbaniem, bezdusznością. Pamiętajmy, że nie jest on odosobnioną placówką, a jedną maleńką cząstką wielkiego zbiorowego organizmu — społeczeństwa — za którego skalę, kulturę, wartość odpowiadamy my kobiety: żony, matki, wychowawczynie!

Wanda Dobrzańska.

Wczoraj i Dzisiaj

Wiele rzeczy się zmieniło w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Zmieniły się pojęcia, poglądy, obyczaje, układ życia towarzyskiego, stosunki rodzinne. Jedno tylko pozostało niezmienione, nietkinęte — cały ciężar prowadzenia domu, ostoi życia rodzinnego pozostał w ręku kobiety.

Nic to, że wskutek zmienionych warunków ekonomicznych budżety skurczyły się nieprawdopodobnie; nic to, że żona i matka narówni z mężem musi pracować poza domem, aby wydołać wymogom współczesnego życia; nic to, że w wolnej ojczyźnie oprócz pracy zarobkowej, cięży na kobiecie, jako na dobrej obywatelce, szereg obowiązków społecznych, — dom prowadzi ona jedna tylko.

Jak obliczają ekonomiści, nie mniej niż 70% całego dochodu społecznego przechodzi przez ręce kobiety. To strona finasowa. Rodzina zwarta, kochająca się, szanująca tradycje, jest główną ostoją państwa. To strona moralna. Utrzymać równowagę budżetu rodzinnego i stworzyć taką atmosferę domową, w której członkowie tej rodziny czują się dobrze i bezpiecznie, — wszystko to leży na „wątłych" barkach kobiety. Kto powiedział wątłych? Trzeba mieć nielada wytrzymałość fizyczną i niezłomny hart ducha, żeby podołać tym zadaniom.

Jakie zmiany zaszły w ciągu lat dwudziestu? Jak się różni życie nasze od życia naszych matek?

Będę mówiła o jednej tylko sferze, średnio-zamożnej inteligencji, mającej wymagania kulturalne i intelektualne, stanowiącej tę cenną część naszego społeczeństwa, powiększoną liczebnie przez dziesiątki tysięcy ludzi do niedawna bardzo zamożnych, których zrujnowały: wojna i rewolucja, robiąc z nich ludzi pracy, a nie pozbawiając wysokiej kultury duchowej i wymagań kulturalnych. Więc jak prowadziły dom swój nasze matki?

Pani X. była wzorową żoną, idealną matką, doskonałą gospodynią, kochaną przez męża, ubóstwianą przez dzieci, cenioną przez przyjaciół i krewnych, od rana do nocy zapełniających gościnny jej dom. Rodzina składała się z pięciu, sześciu osób; mieszkanie z pięciu, sześciu pokoi. Służby było zwykle troje.

O ile pan i władca nie miał jakichś kosztownych pozadomowych przyzwyczajeń, zarobek jego starczał na prowadzenie domu, kształcenie dzieci, rozrywki i życie towarzyskie. Standart tego życia nie był zbyt wysoki, ale kupowano książki, abonowano pisma, chodzono do teatru, przyjmowano znajomych.

Te przyjęcia to była chluba pani domu. Chlubą były jej nalewki, torty, majonezy.

Dzieci zawsze doskonale ubrane i od najmłodszego wieku nienagannie zachowujące formy towarzyskie. Mąż miał codzień ulubione przysmaki (droga do serca mężczyzny prowadziła podobno przez żołądek!), kasa w ręku pani nigdy nie była pusta, więc żadnych kwasów i nieporozumień.

Pani nie potrzebowała wstawać rano. Długoletnia kucharka stosowała się do wydanej z wieczora dyspozycji. Bona odpowiadała za dzieci, cerowała pończochy, odświeżała suknie pani,. pomagała pokojowej w sprzątaniu. A pani z czarującym uśmiechem na ustach i w niemniej czarującym szlafroczku asystuje przy śniadaniu męża, wychodzącego do pracy o dziewiątej lub dziesiątej.

A potem, odwiedziny bliskich zajmują ranek. Przed obiadem doprawienie sosu, lub ubranie półmiska. Po obiedzie znów odwiedziny, już ceremonjalniejsze. Fraulein lub mademoiselle ma konwersację z dziećmi, korepetytor pomaga w odrobieniu zadań szkolnych. Dzień się kończy, trzeba już tylko uścisnąć i przeżegnać dzieci przed spaniem, a z mniejszemi odmówić paciorek. Końcowy akord to rachunek z kucharką i dyspozycje na jutro.

Tak było wczoraj! A dziś? Pani Z. ma też męża, wyższego urzędnika lub przedstawiciela wolnego zawodu i też dwoje lub troje dzieci. Mieszkanie jej składa się z dwóch pokoi, lub nawet jeśli z pięciu, to korzysta z dwóch tylko, gdyż resztę zajmują sublokatorzy. Służąca, oczywiście jest jedna. Ponieważ na najskromniejsze bytowanie zarobków męża nie wystarczy, pani ma też posadę. Wstać trzeba o szóstej, aby ubrać się już na dzień cały, obudzić dzieci, ubrać je, nakarmić, wyprawić do szkoły, przyrządzić dla nich i dla męża drugie śniadanie. Wydać na dzień cały dyspozycje małorozgarniętej najczęściej pomocnicy, zjeść śniadanie z mężem i jeszcze zdążyć na ósmą do własnego biura. Siedem godzin sumiennej harówki z ciągłą myślą o redukcjach mężatek. Po powrocie ostatnie wykończenie obiadu, aby, chociaż tak skromny, dobrze smakował. Po obiedzie pomoc w odrabianiu lekcyj, wypad na miasto w poszukiwaniu tańszych produktów. A gdy dzieci usną, cerowanie, łatanie. Dobrze jeszcze, jeżeli mąż głośno przeczyta gazetę lub jest radjo z głośnikiem, jedyny łącznik ze światem zewnętrznym. A gdzie znaleźć czas na zaondulowanie krótkiej czuprynki, na manicure, na masaż twarzy? — urzędniczka może żyć o suchym chlebie, ale musi wyglądać młodo i elegancko. A gdzie znaleźć czas i parę złotych na odczyt, na koncert, na teatr, chociażby na kino w tym nieustającym kieracie pracy? Ile trzeba znaleźć w sobie sił, aby być zawsze miłą i uśmiechniętą, zawsze serdeczną dla męża i dzieci, wysłuchać ich zwierzeń i żalów, dodać im otuchy? Ile taktu i cierpliwości, ażeby żyć w zgodzie z sublokatorem?

A ile mądrości i przeznorności wymaga także ułożenie i wykorzystanie budżetu, aby wspólnych zarobków starczyło do następnego pierwszego.

To są warunki, w których artystycznie wykonane, domowe ciastka i filiżanka herbaty, podane gościom ze staropolską gościnnością, to już nadprogram, który szczerze podziwiać należy!

Elżbieta Krewnarska

to samo inaczej



„Kanapki" bridge'owe garnirowane pasztetem, serem i szynką. Drobne ciasteczka bridge'owe podawane do herbaty, lub Vermouthu. Grzanki w stylu bridge'owym garnirowane dżemami owocowemi, i masą orzechową.

Bridge daje — bridge żąda

Bridge daje swoim adeptom największą sumę rozkoszy — zainteresowanie przysłaniające sobą wszystko to czego nie wyczytują w danej chwili z kart jakie im los dał do ręki; bridge żąda, jak kapryśny władca pewien swego uroku i czaru, względów, których bagatelizować nie wolno.

Więc: sukien o typie bridge'owym i specjalnego o typie bridge'owym nakrycia; zestawienia posiłków w sposób odpowiadający bridge'owi i co najważniejsze lubuje się w paradoksach, bo sam nie uznaje poszanowania czasu, a wymaga od wszystkich, którzy obracają się w orbicie jego wpływów, jak najdalej idącego czasu poszanowania.

Kto wejdzie w zaczarowany krąg bridge'owy, kto wchłonie w siebie fluidy jakie idą od tego magicznego pojęcia „partja bridge'a" — ten zrozumie odrazu, że *to samo* zaczyna się dziać *inaczej*.

Niema czasu na zbędne gawędy, niema czasu na delektowanie się arcydziełami kulinarnemi; niema miejsca na frywolny wdzięk podniecających drobiazgów tualetowych.

Jest tylko to najważniejsze: licytacja i rozgrywka.

Ale, że najentuzjastyczniejsi nawet wyznawcy bridge'a nie wyzbyli się głodu i pragnienia, nadchodzi chwila zwycięstwa ciała nad „duchem bridge'owym" — nadchodzi chwila przeznaczona na krótki, w pośpiechu spożywany posiłek.

Współczesna pani domu wie, że do herbaty bridge'owej nakrywa się specjalnemi serwetkami (patrz wzór na str. 12), znaczy je zatem misternie ręcznym haftem w uświęconych barwach: czerwonej i czarnej. Stara się zestawić posiłek tak, aby zawierał w sobie wystarczającą ilość kaloryj, a zachował lekkość nie obciążającą organizmu. Ociężałość dosytu wpływa bowiem ujemnie na lotność wyobraźni, a smakosz, który w obliczu ulubionych przysmaków o „ciężkich wartościach" nie umie zachować miary staje się łatwo ofiarą wstrzemięźliwego.

Dlatego też pokusy kulinarne jakie subtelna pani domu podaje swoim gościom powinny płacić rozkoszą wzrokową za brak ciężaru gatunkowego. Misterne, lekkie kanapki, drobne ciasteczka wyzute z nadmiaru słodyczy, sałatki owocowe, napoje orzeźwiające, bogate w witaminy — wszystko podane w ilościach zakreślonych umiarem — wszystko podane z wykwintem, wyzwolone z pod zabójczego szablonu.

Nawet te „lekkie kanapki i wyzute z nadmiaru słodyczy pobudzającej pragnienie, drobne ciasteczka" umiały się podporządkować całokształtowi, świadczą o tem, że w domu współczesnej kobiety-estetki przyjęcia bridge'owe obowiązuje hasło: *„to samo — inaczej"*.

Współczesna.

Opis modeli

DRUGA STRONA OKŁADKI:

1. Suknia wizytowo-wieczorowa z czarnej tafty, pelerynka i pasek zielone — model firmy Jodelle.

2. Suknia z czarnej wełny — garnitur biały plisowany — model firmy Lelong.

3. Suknia czarna z crepe satin, kokarda czarno-zielona.

4. Suknia wizytowa z jedwabiu granatowo-szafirowego, klamra metalowa, kołnierzyk z białej żorżety.

CZWARTA STRONA OKŁADKI:

1. Kostjum spacerowy z trykotu czarnego, przerabianego białą nitką.

2. Żakiecik trykotowy ciemno-zielony, krawat fantazyjny z białej piki.

3. Bronzowy żakiecik trykotowy, klamra i guziki metalowe.

4. Kostjum z trykotu w kolorze prune (śliwkowy), wyłogi z białej angory.

Jadłospis tygodniowy

OBIADY MIĘSNE

1. Zupa czysta pomidorowa w filiżankach — grzaneczki z serem
Kuropatwy z czerwoną kapustą
Torcik kruchy z kremem kawowym.

2. Zupa jarzynowa — kluseczki z naleśników
Wątróbka smażona z cebulką — ryż na sypko — ogórki z konserwy
Biszkopt z marmeladą, albo sokiem.

3. Barszcz wołyński zabielany
Befsztyki siekane — kluseczki kładzione ze słoniną — sałata z kiszonej kapusty z jabłkami.
Kalafiory z masłem.

4. Rosół z domowym makaronem
Sztukamięsa, kartofle z wody
Ćwikła, ogórki z konserwy
Ryż z gruszkami.

5. Kartoflanka na baraninie
Pieczeń barania po angielsku
Fasolka szparagowa — kartofelki przysmażane
Ogórki z konserwy
Mus porzeczkowy.

6. Zupa grzybowa ze śmietaną i kaszą perłową
Kotlety ze śledzi
Sos ostry korniszonowy
Purée z kartofli — sałata
Budyń z kwaśnej śmietany z konfiturami.

7. Kapuśniak z pomidorami
Nóżki cielęce osmażone w klarze
Sałata z czerwonej kapusty—kartofle z wody
Szarlotka



Jesienne szrony

Jesienne szrony, to dzwonek alarmowy, wzywający nas do zabezpieczenia ogródków i ogrodów przed grozą zbliżającej się zimy.

U schyłku jesieni trzeba pamiętać o wiośnie, wyjść już myślą i staraniem naprzeciw sezonowi budzenia się do życia przyrody, stworzyć naszym roślinom, jak najdodatniejsze warunki przetrwania zimy.

Dalej pomyślimy o kłączach i cebulkach roślin delikatnych, zimujących pod dachem.

Ostro zaznaczające się przymrozki, będą sygnałem przycięcia łodyg na parę cm. ponad ziemią, a po paru dniach dopiero przystąpimy do ostrożnego wyjęcia z ziemi cebulek kwiatowych i kłączy, starając się nie naruszać korzeni.

Przechowujemy je przez zimę w suchych ciałach sypkich (miał torfowy, piasek, ziemia), zabezpieczających przed parowaniem. Dbamy o chłodne, suche, przewiewne pomieszczenie. Drobne cebulki można składać do przewiewnych woreczków, szytych z muszlinu, które zawieszamy na haczykach wbitych w sufit (co uniemożliwia dostęp myszom, niszczącym tak często cebulki kwiatowe).

W ten sposób przechowujemy kłącza dalij, egzotycznych, delikatnych odmian kosaćców, lilij, begonij bulwiastych.

Cały szereg roślin cebulkowych zimuje pomyślnie na miejscu stałem, wymagając jedynie przykrycia krowieńcem, albo warstwą suchych liści.

Chronienie przed mrozami warstwą krowieńca ma cel podwójny: zabezpieczenie przed mrozem i użyźnienie gleby zapomocą przedostających się do niej, pod wpływem opadów atmosferycznych, pożywnych części nawozu. Na grzędach i kwietnikach obsadzonych roślinami cebulkowemi dobrze jest dać pierwszą warstwę z drobnych gałązek iglastych, a dopiero na nich układać krowieniec i suche liście. W ten sposób zabezpieczamy cebulki kwiatowe przed żarłocznością myszy, żerujących w czasie zimy z podwójną zaborczością.

Ostatnim zabiegiem ochronnym będzie dołowanie róż, osłanianie winorośli, młodych krzewów brzoskwiniowych i morelowych, delikatnych krzewów ozdobnych i pnączy.

Pamiętajmy o tem, że zbyt wczesne zabezpieczanie roślin na zimę odnosi fatalne skutki. Rośliny zagrzewają się, wegetują pod przykryciem i tracą w ten sposób siły żywotne ze szkodą dla dalszego rozwoju i przyszłego kwitnienia.

To też trzeba zgromadzić zawczasu materjał potrzebny do zabezpieczania, mieć go pod ręką, ale osłaniać dopiero wtedy, gdy silny spadek temperatury zaznaczy się wyraźnie i trwale.

Wszystkie opustoszałe z kwiatów i warzyw grzędy i kwietniki, oczyścić starannie, przekopać głęboko, pozostawić w ostrej skibie (nie grabić). Ziemię wymagającą użyźnienia pokryć, po przekopaniu, warstwą przegniłego nawozu, przekopać bardzo płytko i znów pozostawić nie wygładzając powierzchni grabiami.

Scabiosa.

Przepisy kulinarne

BARSZCZ WOŁYŃSKI

Proporcja na 6 osób:

10 dk. fasolki drobnoziarnistej
10 dk. konserwy pomidorowej
2 marchewki
1 pietruszka
1 cebula
troszę szatkowanej kapusty włoskiej
kilka kartofli krajanych w kostkę
2 duże buraki ćwikłowe
½ kg. żeberek wieprzowych, włoszczyzna, szklanka tłustej kwaśnej śmietany, łyżka mąki pszennej.

Ugotować rosół na żeberkach wieprzowych. Oddzielnie ugotować fasolkę. Poszatkować drobno marchew, kapustę, pietruszkę, cebulę. Włożyć do rondelka, dodać 5 dk. masła, podlać paroma łyżkami rosołu, dusić na wolnym ogniu 20 minut. Przecedzić rosół, odlać tyle, ile potrzeba do ugotowania buraków, do pozostałego rosołu włożyć jarzynki, fasolkę, przykryć i pozostawić w cieple, nie gotując. Buraki obrać, pokrajać w wąskie paseczki, ugotować, zalać pół łyżką octu, żeby nabrały żywego koloru. Dodać do rosołu buraki wraz ze smakiem, konserwę pomidorową rozprowadzoną paroma łyżkami rosołu. Zaprawić barszcz mąką rozprowadzoną zimnym rosołem, zagotować, zdjąć z ognia, wlać śmietanę i już z nią nie gotować. Włożyć do wazy mięso obrane z żeberek i sporo siekanej zieleninki, zalać bardzo gorącą zupą.

RYŻ NA SYPKO

30 dk. ryżu
1 cebula cukrowa
10 dk. masła
soli do smaku.

Wypłókać ryż w kilku wodach, osączyć. Zagotować w rondlu wodę, wsypać ryż, gotować dwie minuty, mieszając. Wylać na durszlak, przelać zimną wodą, osączyć. Pokrajać drobniutko cebulę, przesmażyć z masłem nie rumieniąc. Wsypać osączony ryż na masło, zasmażyć, mieszając tak, aby tłuszcz rozszedł się po wszystkich ziarnach. Podlać tyle wody, żeby sięgała pod wierzch ryżu, posolić, wymieszać, przykryć, wstawić do pieca na górną kondygnację. Gdyby ryż wchłonał wodę, a ziarna pozostały twarde, skropić jeszcze kilkakrotnie zimną wodą. Nie mieszać w czasie gotowania.

GRZANECZKI Z SEREM

Proporcja na 6 osób:

Długa bułka otarta ze skórki
10 dk. masła deserowego
10 dk. tartego sera szwajcarskiego.

Pokrajać bułkę na cienkie plasterki. Masło wymieszać z serem. Posmarować grzaneczki na pół palca grubo. Na chwilę przed wydaniem na stół zrumienić w bardzo gorącym piecu. Podawać ułożone w zręczny stos na wygrzanym półmisku.

KAPUSTA CZERWONA

Duża główka czerwonej kapusty
1 cebula cukrowa (średniej wielkości)
10 dk. słoniny, kilka łyżek rosołu, łyżka octu,
łyżka mąki pszennej
2 kostki buljonu
łyżka cukru
soli do smaku
duży kieliszek białego wina.

Poszatkować cieniutko kapustę, sparzyć wrzącą wodą, wylać na durszlak, osączyć. Posiekać cebulę, słoninę pokrajać w maleńkie skwareczki, przesmażyć nie rumieniąc. Rzucić kapustę do rondla ze słoniną, podlać kilkoma łyżkami rosołu, posolić, dodać buljon, cukier, wymieszać. Dusić bez przykrycia na wolnym ogniu, mieszając od czasu do czasu i uważając, aby się kapusta nie przypaliła.

Po upływie godziny dodać ocet, oprószyć powierzchu mąką pszenną, wymieszać, dusić jeszcze pół godziny. Na chwilę przed wydaniem spróbować, doprawić jeszcze w miarę potrzeby, wlać duży kieliszek białego wina, wymieszać, przykryć szczelnie, żeby się aromat nie ulatniał i już nie gotować, a tylko trzymać w cieple.

TORCIK KRUCHY Z KREMEM KAWOWYM

25 dk. mąki
12 i ½ dk. masła
2 łyżki śmietany kwaśnej
6 dk. cukru pudru
6 dk. wyborowej kawy
6 żółtek
6 dk cukru pudru
szklanka mleka
4 dk. cukru pudru
20 dk. masła deserowego.

Zagnieść ciasto z powyżej podanej proporcji. Rozwałkować cienko, wyciąć krążki wielkości płaskiego talerza, upiec na złoty kolor w gorącym piecu. Zemleć kawę miałko, zagotować szklankę wody z maleńkim okruszkiem cykorji. Na wrzącą wodę wsypać kawę, zamieszać, podgrzać do zagotowania,zdjąć z ognia, zalać pół łyżeczką zimnej wody, przykryć szczelnie, odstawić żeby kawa opadła na dno imbryka.

Utrzeć do białości żółtka z cukrem, rozprowadzić mlekiem. Podgrzać na ogniu, mieszając bezustannie dopóki nie wytworzy się gęsty, gładki krem. Wystudzić mieszając. Ucierać na donicy masło z 4 dk. pudru na śmietanę, dodając stopniowo po łyżce kremu i po parę kropel przecedzonej przez muszlin kawy czarnej. Kawy dodać tyle, aby krem był aromatyczny, nie należy go jednak zbytnio rozrzedzać. Gdyby się krem dzielił dodać łyżkę, lub dwie masła rozgrzanego na parze. Gotowym kremem przekładać krążki, układając jeden na drugim. Posmarować torcik powierzchu kremem, przybrać ziarnkami kawy czekoladowej.

BISZKOPT

Proporcja na 6 osób.

6 jajek
15 dk. cukru pudru
10 dk. mąki kartoflanej
trochę sproszkowanej wanilji
sok z pół cytryny
masło i mąka do formy.

Utrzeć do białości żółtka z cukrem (ucierać 20 minut), wlać sok cytrynowy, dodać sproszkowaną wanilję, wymieszać. Dodawać stopniowo mąkę i dalej ucierać. Ubić białka na sztywną pianę, wymieszać lekko z ciastem. Wlać ciasto do formy wysmarowanej masłem i wyprószonej mąką pszenną, wstawić natychmiast do średnio - gorącego pieca. Piec około 40 minut.

Gotowy biszkopt wyjąć natychmiast z formy, wystudzić, wyciąć środek ostrą okrągłą foremką, ułożyć na ozdobnym talerzu i wypełnić puste miejsce marmeladą owocową, albo konfiturami osaczonemi z syropu.

RYŻ Z GRUSZKAMI

Proporcja na 6 soób.

25 dk. ryżu
litr mleka
4 żółtka — cukier — wanilja
8 gruszek
15 dk. cukru — wanilja
kieliszek mocnego araku.

Wypłókać ryż w zimnej wodzie, osączyć. Zagotować na obfitym wrzątku, odlać, przepłókać zimną wodą. Rozkłócić żółtka z mlekiem, wsypać trochę cukru z wanilją, włożyć ryż, wymieszać, nakryć rondel i wstawić do gorącego pieca. Gruszki obrać, przeciąć wzdłuż, wydrążyć środki. Ugotować gruszki na lekkim syropie zaciśniętym sokiem cytrynowym. Gdy już będą miękkie wyjąć z syropu i gotować go jeszcze chwilę, żeby nabrał zawiesistości.

Gotowy ryż wyłożyć na okrągły półmisek, uformować zręczną kopułę, ubrać ją wieńcem z gruszek, ustawionych dokoła. Syrop zagotować, zdjąć z ognia, wlać duży kieliszek araku i polać nim ryż na półmisku.

MUS PORZECZKOWY

Proporcja na 6 osób.

5 białek
3 łyżki cukru pudru
2 łyżki galaretki porzeczkowej
2 łyżki konfitur z porzeczek
1 dk. żelatyny.

Ubijać na lodzie pianę z białek, dodając stopniowo cukier puder. Do sztywnej piany dodawać znów stopniowo galaretkę porzeczkową i konfitury ciągle ubijając. Wreszcie wlać 1 dk. żelatyny rozpuszczonej w trzech łyżkach wody i ubijać dalej dopóki mus zupełnie nie stężeje. Ponakładać w szklane puharki, postawić w zimnie. Podawać przybrany andrutami.

Melba.

Z PÓŁEK KSIĘGARSKICH.

Ukazało się na półkach księgarskich nowe dziełko p. Elżbiety Kiewnarskiej: „2000 obiadów z kolorowemi ilustracjami", wydane w Poznaniu, nakładem Wydawnictwa Polskiego R. Wegnera.

Zewnętrzna szata książki przynosi zaszczyt estetycznemu wykształceniu wydawcy, — treść dorzuca jeszcze jeden listek laurowy do wieńca zasługi społecznej znanej autorki.

Na treść tej książki złożyło się wieloletnie doświadczenie pani Elżbiety jej wiedza kulinarna, zmysł praktyczny, zrozumienie aktualnych konjunktur ekonomicznych i znaczenia estetyki w życiu codziennem, zwłaszcza estetyki w pokoju stołowym.

Cenna, miła i pożyteczna książka którą nabędą niewątpliwie i polubią jak życzliwą przyjaciółkę nasze Czytelniczki.

Egzemplarz **Tygodnika Kobiety** kosztuje w sprzedaży 50 gr., w prenumeracie **opłata miesięczna wynosi 1 zł. 75 gr.** (za egzemplarz około 40 gr.), **opłata kwartalna 5 zł.** (za egzemplarz około 38 gr.).

Tygodnik Kobiety dostarczany będzie PP. Prenumeratorkom regularnie pocztą do mieszkania, przyczem każda z Nich otrzymywać będzie bez żadnych dopłat **specjalne numery sezonowe,** droższe w sprzedaży.

Należność za prenumeratę można wpłacić w następujący sposób:

1) w każdym urzędzie pocztowym, wypełniając tak zwany przekaz rozrachunkowy (koszt przekazu 1 grosz);

2) na poczcie lub w P.K.O. na konto Tygodnika Kobiety Nr. **13191,** wypełniając blankiet P.K.O.;

3) bezpośrednio w Administracji w Warszawie przy ul. Okólnik 11-a.

Formy bibułkowe do wszystkich modeli, podawanych na 3-ej str. okładki, otrzymać można w Poradni Mody, Warszawa, Świętokrzyska 17, w cenie:

Formy większe (palta, suknie i t. p.), 2 zł. 50 gr.

Formy mniejsze (bluzki, spódnice, bielizna) 2 zł.

Załączony poniżej kupon uprawnia Czytelniczki Tygodnika Kobiety do otrzymania formy bibułkowej jednego z modeli, podanych w naszem piśmie z ustępstwem 50%.

KUPON

uprawniający do nabycia formy bibułkowej po zniżonej cenie.

Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3, tel. 644-59.



1.

2.

O p i s Nr. 1

1. PŁASZCZ Z AKSAMITU LUB Z WEŁNY, RĘKAWY I KIESZENIE PRZYBRANE KARAKUŁAMI.
2. SPORTOWA SUKNIA Z WEŁNY PRZYBRANA BIAŁĄ PIKĄ.
3. SUKNIA WEŁNIANA Z BASKINĄ. STOJĄCY KOŁNIERZ Z ORGANDYNY LUB AKSAMITU.
4. PŁASZCZ WEŁNIANY. Z PRZODU RODZAJ KAMIZELKI Z PŁASKIEGO FUTRA.
6. SUKNIA Z CIEMNOZIELONEJ WEŁNY. RĘKAW REGLANOWY.
7. STROJNA SUKNIA Z CIEMNEGO AKSAMITU PRZYBRANA RIUSZKAMI W JAŚNIEJSZYM TONIE.

O p i s Nr. 2

5. ZŁOTY SZNUR I KWIAT DO STROJNEJ SUKNI, BRANSOLETKA Z KWIATEM ZE SKÓRKI I TOREBKA ZAMSZOWA.

O p i s Nr. 3

8. TOREBKA ZE SKÓRY WYKOŃCZOCZONA STEBNOWANIEM, PASEK SKÓRZANY Z KLIPSAMI, SZAL I SKÓRKOWE RĘKAWICZKI.



3.

4.









5.



8.

6.

7.

Suknie z Trykotu



1.



2.



3.



4.

opis na str: 13